

KONKURS HISTORYCZNY

„ Historia mojej małej Ojczyzny. Wspomnienia o żołnierzach ZWZ – AK
Okręgu Zamość oraz ich powojenne losy.”

Ruch oporu na Zamojszczyźnie

w

„ Pamiętniku” Jana Tyszki ps. „Wyrwa”

Karolina Tyszka
Gimnazjum nr 4 w Zamościu
kl. I B

pod kierunkiem p. Anny Klech

Zamość, 2010 r.

WSTĘP

Moja praca zawiera w całości relacje mojego dziadka, Jana Tyszki, ps. „Wyrwa” (ur. 12.07.1919r. w Zwierzyńcu; zm. 11.04.1984r.). W czasie okupacji działał w ruchu oporu na Zamojszczyźnie.

„Pamiętnik” ten jest w posiadaniu mojej rodziny od około 10 lat, kiedy to, po śmierci babci Zofii, moi rodzice, przeglądając w domu dziadków książki, natrafili na pożółkły zeszyt zapisany ręką mojego dziadka, Jana. Okazało się, że są to zapiski z czasów okupacji (od 6 czerwca 1943r. do 21 marca 1944r.), gdy walczył on w oddziale AK ppor. „Podkowy” (Tadeusza Kuncewicza).

Należy zauważyć, że Zamojszczyzna (dawne powiaty: zamojski, biłgorajski, tomaszowski i hrubieszowski) w okresie okupacji niemieckiej była obszarem, na którym wysiedlano ludność polską i osadzano kolonistów niemieckich na podstawie niemieckiego Generalnego Planu Wschód. Na mocy rozporządzenia Komisarza Rzeszy do Umacniania Niemczyzny, szefa SS i Gestapo, H. Himmlera Zamojszczyzna została pierwszym obszarem osadniczym w Generalnym Gubernatorstwie. Na mocy tego rozporządzenia Niemcy przeprowadzili masową akcję wysiedleńczą od 28 listopada 1942r. do marca 1943r., a następnie akcję pacyfikacyjno – wysiedleńczą od 23 czerwca do 15 lipca 1943r. Łącznie wysiedlono z 297 wsi około 110 tysięcy Polaków, w tym około 30 tysięcy dzieci. Akcje te hitlerowcy przeprowadzali w sposób bezwzględny: rozdzielano rodziny, odbierając rodzicom dzieci; rozstrzelano wiele osób; niektóre wsie spalono wraz z mieszkańcami (np. Sochy). Wysiedlonych umieszczano w obozach przejściowych w Zamościu i Zwierzyńcu, gdzie poddawano ich segregacji: część wywożono na przymusowe roboty do Rzeszy Niemieckiej, część osadzano w obozach koncentracyjnych (na Majdanku i w Oświęcimiu), 4,5 tysiąca dzieci wywieziono w głąb Niemiec i przekazano rodzinom niemieckim w celu germanizacji.

Ludność Zamojszczyzny od momentu pierwszych wysiedleń zaczęła stosować opór. Masowo opuszczała gospodarstwa, uciekała do lasów i organizowała samoobronę. Stąd rekrutowali się nowi partyzanci. W akcji zorganizowanego oporu na Zamojszczyźnie uczestniczyły następujące organizacje podziemne: Związek Walki Zbrojnej przekształcony w 1942r. w Armię Krajową oraz Bataliony Chłopskie. Następnie przyłączyły się: Gwardia Ludowa i grupy mieszane złożone z Polaków i zbiegłych z niewoli jeńców radzieckich. Wykonały one w sumie ponad 300 akcji zbrojnych, spaliły kilkanaście wsi zasiedlonych kolonistami niemieckimi, zrealizowały około 30 uderzeń na transporty kolejowe. Wykonywano też indywidualne zamachy na osadników, zdrajców, konfidentów i komendantów wsi.

Mój dziadek, Jan Tyszka ps. „Wyrwa”, należał do oddziału leśnego AK ppor. „Podkowy”. Na terenie powiatu zamojskiego, na przełomie 1941 i 1942r., stworzono 2 kompanie: „Norberta” (Jan Turowski) do obrony odcinka wschodniego i „Podkowy” do odcinka zachodniego. Kompania „Podkowy” składała się z około 150 żołnierzy w 3 plutonach: Ruskie Piaski, Szczebrzeszyn, Zwierzyniec. Od maja 1943r. doszedł oddział leśny. Początkowo liczył on 30 partyzantów, a w 1944r. aż 120. Zastępcą „Podkowy” był ppor. Adam Piotrowski ps. „Dolina”. Siedzibą „Podkowy” był rejon wsi Tereszpol. W 1943r. nastąpiła reorganizacja. 15 grudnia 1943r. utworzony został Kurs Podchorążych Rezerwy, którego uczestnikiem był mój dziadek. Szkoła istniała do 5 lutego 1944r.

Oddział partyzancki „Podkowy” przeprowadził wiele akcji dywersyjnych. Wymienię niektóre z nich:

- wysadzenie mostu kolejowego w Ruskich Piaskach (16 grudnia 1942),
- zasadzka na kolumnę niemiecką na trasie Zwierzyniec – Józefów (5 lutego 1943),
- atak na transport z materiałami pędnymi między stacjami kolejowymi Susiec – Długi Kąt (22 kwietnia 1943),
- egzekucje na zdrajcach i gestapowcach ,
- odbicie więźniów w Janowie,
- akcje aprowizacyjne, np. w Suchowoli (styczeń 1944r.),
- wysadzenie pociągu towarowego z amunicją jadącego z Bełżca do Zamościa (maj 1944),
- niszczenie urządzeń technicznych i łącznościowych.

25 lipca 1944r. „Podkova” nawiązał kontakt z dowódcą radzieckim i uzgodnili, że jego oddział nadal będzie wykonywał zasadzki w rejonie Szperówki. Następnego dnia „Podkova” ze swoimi żołnierzami wjechał do Szczebrzeszyna i wywiesił polską flagę na ratuszu, a potem zameldował swoje przybycie radzieckiemu dowódcy.

W nocy 29/30 lipca 1944r. dostarczony został rozkaz z Komendy AK w Lublinie o rozwiązaniu oddziałów i przekazaniu broni armii radzieckiej. Partyzanci zostali zmuszeni do złożenia broni, co

było równoznaczne z ich kapitulacją.

Nie wszyscy pogodzili się z tym stanem rzeczy. Część pozostawała nadal w konspiracji.

Mój dziadek przez długi czas był prześladowany przez NKWD.

Pierwszą pracę podjął na kolei. Tam pracował tylko rok. Natomiast w klinice przepracował aż do emerytury.

„Pamiętnik”

*„Dzięki Tobie ,Dziadziu, wiem,
że nawet wojna nie niszczy ludzkich uczuć w człowieku...”*

„Pamiętnik mój zacząłem pisać bardzo późno i dlatego muszę cofnąć się 5 i pół miesiąca wstecz, i też pierwsze miesiące będą niezbyt dokładnie opisane. Jak się dostałem do oddziału leśnego - nie będę tego opisywał. Pozostał tylko fakt, że jednak jestem w oddziale leśnym, w naszym Polskim Wojsku, o którym dawno pewna część społeczeństwa zapomniała, inna zaś tylko wspomina o Wojsku Polskim, które walczy na obczyźnie. O nas zaś nie każdy wie. Wie ten, który nas widzi, z nami się styka, nam pomaga. Może jasno i z całą pewnością stwierdzić, że armia polska jest obecna w kraju, walczy, karze sprawców, karze zdrajców i spełnia czynności te, co do niej należą.

Do wojska szedłem nie z musu, że mnie ktoś kazał lub, że spełnię swój obowiązek. Poszedłem, bo chciałem, wiedziałem, że tam na coś się przydam, że się nauczę tego trudnego rzemiosła żołnierskiego, no i również jest wielkim zaszczytem być w armii, o której wróg nasz śmiertelny twierdził, że nie ma Polski, nie ma armii naszej, a okazuje się, że kłamie, armia nasza jest, żyje i walczy.

Kiedy szedłem do obozu byłem podniecony, można powiedzieć zdenerwowany, nie wiedziałem, jak będę się tu czuł, czy będę zdolny do służby wojskowej w tych warunkach. Przybyłem do obozu 6 czerwca 1943 roku, dzień ten na zawsze zostanie w pamięci, dzień ten jest dniem, w którym zacząłem tak zaszczytną służbę, jak służba w Wojsku Polskim.

Obozu naszego nie będę opisywał, w którym miejscu był też. Fakt pozostanie faktem, że był w lesie. Nie tak jak armia przed wojną, gdzie żołnierz był w koszarach, my mamy warunki tylko polowe. Namioty moich kolegów były z gałęzi świerkowych. Zostałem przydzielony do namiotu, gdzie było paru kolegów z mojej miejscowości.

Myślałem, że pierwsze dni będą dla mnie ciężkie, ale nieprawda - przyzwyczaiałem się do warunków leśnych z miejsca, nie wiedziałem nawet, kiedy zeszedł tydzień, później dwa i zaczął czas mi lecieć.

Ale powrócę do pierwszych moich przeżyć w obozie. Przyszedłem około północy, błądziliśmy i szukaliśmy obozu w czterech. No, ale znaleźliśmy. Pierwsze wrażenie, widząc wartownika z karabinem na ramieniu, podchodzimy dalej, widzę ognisko się pali, a obok namioty moich współtowarzyszy broni. Przychodzę bliżej ogniska, odnalazłem bezpośredniego dowódcę plut. „Osę” i wtedy zameldowałem mu swoje przybycie. Rzuciłem swoje manatki i siadłem obok ogniska, zaczęliśmy rozmawiać. W czasie naszej rozmowy została przyniesiona kawa i chleb ze szmalcem, było to pierwsze pożywienie, którym mnie poczęstowano. Dawno mnie tak nie smakowało żadne jedzenie jak ta czarna kawa i chleb, nie wiem czy dlatego, że byłem troszkę głodny, ale myślę, że nie dlatego, tylko dlatego, że to był mój pierwszy żołnierski posiłek. Po zjedzeniu zacząłem znowu gwarzyć i tak nam noc zleciała do dnia. O godzinie 6-tej pobudka. Z namiotów wstają i wychodzą wszyscy, dopiero widzę swoich znajomych, witam się z nimi, ale nie

mam czasu na rozmowy, bo dzień ma rozłożony rozkład zajęć i wszystko idzie podług zegarka . Po paru minutach zbiórka i zaczyna się gimnastyka, którą prowadzi szef kompani plut. „Most” . Po gimnastyce następuje mycie , później śniadanie , zajęcia , obiad, zajęcia, kolacja , apel i tak schodzi dzień . Pamiętam , że w pierwszy dzień dostałem prace nad rzeczką, która była płytka . Musiałem zbudować na niej tamę , ażeby ją spiętrzyć i pogłębić , tama ta mi się udała i mieliśmy rzeczkę głębszą, bo nawet woda sięgała po kolana . Byłem sam zadowolony ze swojej pracy , no i moi przełożeni . Co jeszcze pozostało mi z tego pierwszego dnia ? To, jak stałem pierwszy raz na warcie . Pamiętam, jakoś tak dziwnie człowiek się czuł. Ja, który byłem przyzwyczajony , że broni nie można było pokazać , bo za to nas wróg kazał śmiercią , teraz stoję sobie z karabinem na ramieniu , z amunicją na chlebaku i ładownicą , z granatami za pasem i czekam niech tylko kto przyjdzie , nie boje się nikogo , że mnie kto zobaczy, że mam broń .No, ale warta dwie godziny i schodzi ten czas szybko .

Jeszcze z tych pierwszych dni pozostał mi w pamięci patrol , na który zostaliśmy wysłani: podch. „Mongol” i nas dwu strzelców - „Huzar” i ja . Ja w obozie nazywam się „Wyrwa” ,a cel naszego patrolu to znalezienie oddziałów sowieckich, które stały w lesie . Oddziały te składały się z jeźdźców rosyjskich , którzy uciekali z niewoli niemieckiej . Nie jest to łatwa sprawa znaleźć w lesie kogoś , tak , że zrobiliśmy według obliczeń na mapie przeszło 28 km no i znaleźliśmy jednak ich. Z sowietami żyliśmy dobrze . No i w pamięci zostało mi to, że postawili przed nami wiadro mięsa , wiadro masła , nalewając wódkę, którą musieliśmy z każdym wypić , jedząc przesiedzieliśmy parę godzin , a podch.. „Mongol” załatwił, co miał wskazane i powróciliśmy do obozu.

Zapomniałem wspomnieć o pierwszej nocy, którą spałem w obozie . W lesie śpi się inaczej jak w domu , później tego nie odczuwałem , ale te pierwsze noce , to pamiętam doskonale, jak za silniejszym i głośniejszym szumem drzew budziłem się . Bo noc w lesie, i do tego w lesie, nie jest ciężka. Od czasu do czasu rozlegnie się krzyk jakiegoś ptaka , to ułamana wiatrem gałązka upadnie na ziemię , szum, chrzęst , to strzał jakiś rozlegnie się echem po lesie . Tak, że pierwsze noce za lada szmerem zrywałem się i nie mogłem spać , niech nikt mnie nie posądzi , że ze strachu, bo bać się nie miałem czego , a później spałem doskonale jak i inni koledzy, co wcześniej przybyli .

Nie pamiętam po ilu dniach , ale zdaje mi się że po jakimś tygodniu , była u nas uroczysta Msza Św. Było to w niedzielę . Nie każdy mógłby w to uwierzyć - jak to naokoło są Niemcy , a oni mają nawet i nabożeństwa . Fakt pozostanie faktem , dla potomności pozostaną zdjęcia fotograficzne , że jednak tak było . Zrobiliśmy bardzo skromny ołtarz i wojska nasze stanęły w czworoboku , jedną ścianą była nasza kompania , drugą kompania warszawska , trzecią komp. Norberta. Tak myślę, że wiele dałby zwykły śmiertelnik za to, ażeby mógł ujrzeć to nabożeństwo , te oddziały nasze stojące w czworoboku z bronią przy nodze .A potem śpiew pieśni narodowej silnym głosem,

donośnym rozlegał się po lesie.

Po paru dniach nastąpił odmarsz naszego oddziału na inne miejsce postoju mniej więcej o jakieś 25 km. Marsz nasz to nie było posuwanie się bezładne , to marsz w szyku ubezpieczonym, w pierwszym tym marszu szedłem z drużyną C .K. M- ów na tylnym ubezpieczeniu . Posuwaliśmy się przeciętnie 3 do 4-ech kilometrów na godzinę , po jednogodzinnym marszu następował dziesięciominutowy odpoczynek. Pierwszych godzin naszego marszu nikt nie odczuwał, ale po kilkunastu kilometrach zaczęli słabsi fizycznie , jak to nazwę , nawalać . Trzeba przyznać , że jednak nasze marsze , są bardzo ciężkie , przecież nie poruszamy się szosami , gdzie jest maszerować bardzo lekko , ale polnymi drogami , piaszczystymi czy kamienistymi albo znów gliniastymi. Po deszczu bardzo ciężko iść, ale nikt się nie przejmuje , wiara idzie wesoło, chłopaki nabijają się jeden z drugiego , śmiechu jest dużo i tak idziemy naprzód . Nad świtem byliśmy na miejscu . Cała noc marszu - nieprzyzwyczajony do marszów nocnych odczułem go jednak , no ale przyzwyczailem się do tego bardzo szybko. Marsz nocny jest bardzo ciężki także dlatego, że nic nie widać . Pamiętam, że idąc noga wpadła mi w dołek , wyjmuję ją i myślę, że jestem na równym terenie , a tu druga w następny dołek , wtedy dostaję R K M -em w głowę, ażeby człowiek pamiętał, że idzie . I tak dalej, marsz przed siebie , ciągle naprzód. Nad ranem byliśmy na miejscu . Jestem pierwszy raz w tych okolicach . Pięknie jest, wzgórza i lasy , lasy po części jodłowe , ale przeważnie mieszane. Zakładamy obozowisko , które jest na zboczu góry , zarośnięte leszczyną i młodymi świerkami . Nasz namiot jest zrobiony z gałęzi , jest nas tam siedmiu .

Z tego obozowiska idziemy na robotę. W języku naszym robotą nazywamy rekwizycję na przykład w fabrykach pracujących na korzyść niemiecką . Właśnie obrobiliśmy fabrykę . Wywiad nasz zawiadomił, że na składzie są ubrania , buty , bielizna , mydło , papierosy , cukier itp. Wykończyliśmy o 10- tej wieczorem. Marsz ubezpieczeniowy - każdy ma swoje zadanie . Ja byłem w grupie, która wchodziła do środka .Byliśmy tutaj przeszło dwie godziny, zabraliśmy zdobyczy dwa wozy wyżej wymienionych artykułów . Z tej wyprawy pozostało mi jedno w pamięci , a mianowicie: mieliśmy zdemontować mieszkanie dyrektora Niemca, rozkaz wykonaliśmy , z przyjemnością biliśmy naczynia , sprzęt , urządzenia, wszelkie meble, tak, że został wielki bałagan , szczątki po tak ładnie urządzonej pokoju . Wracamy. Na miejscu okazuje się, że nie ma jednego z ubezpieczenia. Idziemy - patrol jeden , dwa. Po zbliżeniu się do fabryki słyszymy w stronie naszego ubezpieczenia serie strzałów maszynowych , gwizdże nasz dowódca na syrenie. W tej chwili jesteśmy obstrzeliwani , szczęście przy nas, każdy zdrow , na strzały odpowiadamy strzałami , następuje wymiana ognia . Jestem pierwszy raz pod ogniem nieprzyjaciela , rzucamy dwa granaty , strzały milkną , gwizdżemy jeszcze raz ,odzywają się ponownie strzały , odpowiadamy momentalnie z maszynek , nieprzyjaciel się wycofał. Szukamy naszego ubezpieczenia ,nie ma go. Wracamy w stronę obozu . Po drodze spotykamy ubezpieczenie nasze , okazuje się ,że to nasz

patrol ubezpieczający spotkał się z żandarmerią i obstrzelał ich. Oni wpadli na nas i musieli się wycofać. O wschodzie słońca jesteśmy na miejscu. Po południu następuje podział między strzelców zdobytych ubrań, butów, bielizny itp.

Muszę napisać coś o naszym obozowisku - jest pięknie rozłożone, znajduje się na zboczu góry, między krzakami leszczyny, świerkami itp. Namioty są po części z gałęzi, a po części z pałatek. Namiot obok namiotu, w stronę źródła jest kuchnia polowa. Na dwu palach wbitych w ziemię jest umieszczony drążek, na nim wiszą kotły i wiaderka, w których znajduje się jedzenie (bardzo smacznie gotowane przez naszego kucharza). Muszę parę słów poświęcić kucharzowi. W tym czasie kucharzem był strzelec „Kasza”, popularnie nazywany przez nas „Kicio”. Wygląd: jak kucharz - dobrze sobie wygląda, twarz okrągła, gruby, no i w języku cięty. Ale chłopak miły i dobry.

Staliśmy obozem do 21 czerwca i w tym dniu wyruszyliśmy na inne obozowisko. Marsz jak zwykle: ubezpieczenia, tabory i o wschodzie słońca przybyliśmy na miejsce. Po rozlokowaniu się około godziny 9 rano przybywa goniec z zawiadomieniem, że będzie obława i jednocześnie dowódca nasz otrzymuje rozkaz wycofania naszych oddziałów na wschód. Od południa przygotowujemy się do wymarszu: niepotrzebne rzeczy zdajemy, tylko rzeczy niezbędne zabieramy ze sobą. Po południu dołącza do nas grupa podch. „Gramma”. Wieczorem wyruszamy. Na jednym z postojów przybywa goniec z wiadomością, że Niemcy posuwają się od południa od strony Tomaszowa w sile jednej dywizji i obstawiają wszystkie drogi i szosy od północy i zachodu. Pozostała wolna tylko droga na wschód. Po całonocnym marszu, dołączamy do kompanii por. „Norberta”. Spoczywamy w dzień, a na noc wyruszamy. Drugi dzień, a właściwie druga noc naszego marszu, pogoda nam dopisuje, drugi etap jest długi, marsz około 45 km. Posuwamy się między wsiami wysiedlonymi, gdzie mieszkają teraz Niemcy i Ukraińcy. Musimy posuwać się cicho i szybko, a czasu mamy tylko 5 godzin, a marszu około 45 km., to przeciętnie 9 km na godzinę. A ta noc jest krótka, bo to jest z 23 na 24 czerwca. Ale idziemy szybko. Ja z r.k.m. wraz z plut. „Osą” idziemy z tyłu na tylnym ubezpieczeniu. Spieszmy się, idziemy polnymi drogami na przełaj, bo tabory nasze pojechały jeszcze w dzień. Idziemy szybko, mijamy wsie zamieszkałe przez nieprzyjazną dla nas ludność, tylko psy ujadają zawzięcie.

Przed wschodem słońca jesteśmy na miejscu. Lokalizujemy się w młodym lasku liściastym popularnie zwanym przez nas ogrodem. Siedzimy cały dzień, nie wolno palić ognia, nasi ludzie z placówki przynoszą nam obiad. Około południa pada ulewny 3 godzinny deszcz. Zmokliśmy tak, że nie było na nas suchej nitki, ale nie narzekamy, śmiejemy się, sytuacja ta wcale nas nie zasmuca. O godzinie 6-tej wyruszamy. Posuwamy się ogródkiem. Muszę wspomnieć, że w tym lasku Niemcy w 1942 roku mieli skład amunicji, bomb lotniczych i. t.p. Dlatego wybrukowane są drogi, dróżki, bo Niemcy stąd wozili to na lotnisko oddalone około 6 km, obawiając się

bombardowania sowieckich lotników . Posuwamy się jedną z tych dróg w stronę głównej trasy Zamość – Tomaszów . Po 45 minutach marszu dochodzimy do szosy . Dosłownie po naszym przejściu, jakieś 2 minuty , słyszymy warkot samochodów. Tylne ubezpieczenie melduje: Wojsko. Samochody zatrzymują się. Niemcy obstawiają szosę. Okazuje się ,że jeśli byśmy się spóźnili 5 minut, to musielibyśmy się przebijać. I tak szczęście było przy nas. Posuwamy się dalej lasem, przechodzimy za jakąś godzinę szosę Łabunie – Komarów . Już się ściemniało, widzimy światła w Łabuniach . Posuwamy się polną drogą i dopiero teraz odczuwamy , że padał deszcz . Marsz jest ciężki , bo gleba jest dobra , mianowicie czarnoziem, a ziemia przylepia się do butów i jest bardzo ciężko posuwać się . Około północy znów zaczął padać deszcz, mokniemy , wszystko mokre , ciężko , bo błoto ,.Wokoło wsi nieprzyjaciele. Przechodzimy kolej Zamość – Hrubieszów i szosę w tym samym kierunku . Po przejściu szosy mdleje jeden ze strzelców-młody chłopiec lat 17-cie. Nie wytrzymał fizycznie tego ciężkiego marszu , zostawiamy go w lasku . Wraz z nim pozostaje jeden , ażeby go pilnować , później przyjeżdża nasz tabór i zabiera go . Nad ranem jesteśmy na miejscu , palimy ogniska , ubrania nasze są mokre , ale nie zastanawiamy się nad tym. Kładziemy się na mokrą ziemię , każdy jest zmęczony , pragnie spoczynku , wartownicy czuwają nad nami . Służba wartownicza zwykle jest dwugodzinna , a teraz stoimy po godzinie. Wieczorem ruszamy dalej . Pada deszcze , znów ta sama historia . Ten deszcz to przechodzi do historii .Śmiejemy się, że pogoda nas nie załamie na duchu , czujemy się dobrze .

Nad ranem jesteśmy na miejscu . Zakładamy obozowisko. Grupa nasza, która ciągle trzyma się razem , buduje namiot , kryjemy dach słomą później gałęziami. Kwaterujemy tutaj 5 dni , posterunki wzmocnione , patrole nasze rozchodzą się we wszystkich kierunkach . Obóz jest niedaleko gajówki , wodę bierzemy ze źródelka. Jest to najpiękniejsze źródelko, jakie do tej pory, w czasie mej wędrówki, widziałem. Mieści się w jarze i wypływa ze zbocza , z kamienia , woda czysta i krystaliczna, a zimna tak, że nie można było się po prostu myć. Teraz tutaj mam więcej czasu , pamiętam ileż to razy nie mogłem zasnąć , a przenosiłem się myślą do swoich stron rodzinnych , gdzie zostali najbliżsi. Ileż to razy myślałem , jak daje sobie radę teraz jedna dziewczynka , czy jest na miejscu, czy się jeszcze zobaczymy. Polaków wywożą w niewiadomym kierunku , a na ich miejsce osiedlają Volksdeutschów z Rumunii , Jugosławii . Tak, wiemy doskonale , że niebezpieczeństwo nam grozi , tylko w natarciu , ale i to mamy broń i mamy się czym obronić , a jeżeli padniemy to jak żołnierze , a nasi najbliżsi są narażeni na aresztowania.

Po paru dniach wyruszyliśmy dalej , rozbijając oddziały na dwie części , jedna grupa poszła w zachodnim kierunku , my zaś dalej na wschód. Po całonocnym marszu , w którym tradycyjnie deszcz nas nie odstępował , nad ranem byliśmy na miejscu. Obozowisko nasze znów wypadło w takim małym ogródku. Lasek - młody wielkości 200 m na 200 m, gęsty , że trudno było naprawdę przejść. Musieliśmy wyrąbywać ścieżki do chodzenia. Deszcz nas nie odstępował , całymi dniami

łało z nieba , i myślę , że gdybyśmy nie dostali spirytusu , około 0,5 litra na dzień , to zdrowo nie wyszlibyśmy z tej wędrówki. Tutaj na tym obozowisku doszło do naszej wiadomości , że naczelny nasz wódz Władysław Sikorski uległ nieszczęśliwemu wypadkowi lotniczemu . To nas przygnębiło na cały dzień . Później jednak ,co wiemy doskonale , że na żołnierza zawsze czyha śmierć , nawet kiedy się jej najmniej spodziewa . Trudno , trzeba się z tym zgodzić .

Po czterech dniach powróciliśmy na poprzednie obozowisko , oczywiście deszcz z nami. Tutaj doszły nas wieści, że część naszego oddziału , stoczyła walkę z Niemcami , że są zabici z naszej strony , znów nas to przygnębiło , ale jak później się okazało , że to nasi spotkali się z policja polska i jednym żandarmem, i oczywiście obeszło się bez żadnych strat . Po 4 dniach wyruszyliśmy na zachód . Tutaj byliśmy parę dni i oczywiście deszcz z nami. Na tym obozowisku doszły do nas wiadomości o skutkach pacyfikacji. Wiadomości były przygnębiające. Całe wsie i miasteczka miały być wysiedlone i wywieziona ludność w niewidomym kierunku. I znowu , przychodzą myśli ,co się stało z naszymi najbliższymi, czy żyją , czy są na miejscu , a jak później okazało się , że te same zmartwienia oni mieli o nas . Na odprawie dowódcy uradzili, że musi pójść patrol w nasze strony . Wyruszyliśmy . Było nas 5 - ciu , w 3 r. k.m., 3 maszynowe pistolety i 4 k. beki . Na dziesięciu ludzi wielka siła ognia . Cała noc marszu, postój 3 dni na kwaterze i wyjechaliśmy dwoma furmankami. Cała noc jazdy , pogoda nam dopisuje , dojeżdżamy do jednej wsi , furmanki wracają , a my idziemy dalej pieszo. Cały dzień spoczynku i pod wieczór rozbijamy się na dwie grupki , po 5-ciu . Idziemy na swój teren , około północy jesteśmy na miejscu na placówce, tutaj dowiadujemy się szczegółów tak zwanej przez Niemców pacyfikacji. Tak Niemcy wysiedlali masę wiosek polskich, ludność umieszczali w obozach za drutami w Zwierzyńcu i Zamościu . Codziennie badania , katowali i zabijali mężczyzn , tak nam pokazali Niemcy swoją kulturę. W dzień kwaterujemy . Nocą idziemy dalej, nad ranem jesteśmy na miejscu .

Jestem 1 km od domu ,a jednak nie mogę wstąpić. W dniu 18 lipca – dzień, który utkwiał mi na zawsze w pamięci - przychodzi do nas Zosia. Kto ona jest nie będę pisał , tylko to , że jest dla mnie wszystkim . Ileż to razy przedtem i później , najmiłszym i najszcześniejszym zajęciem moim było pisanie i czytanie listów do niej lub od niej. Tak miło sobie wspomnieć, że jest ktoś , gdzieś co myśli o mnie i.t.d. Spędziliśmy kilka dni ze sobą . Pod wieczór idziemy dalej , nad ranem dochodzimy na miejsce, dołączamy do oddziału, do którego byliśmy wysłani . Dzień spoczynku, na wieczór idziemy w patrol , wracamy około północy , a na następną noc idziemy z powrotem . W drodze powrotnej o mało . a byśmy byli wpadli w zasadzkę , ale ominęliśmy . Około północy jesteśmy znów w tym miejscu , gdzie przyszły do nas siostry i najbliżsi . Tutaj przychodzi siostra kolegi „Kaktusa” i jego sympatia. Zosi nie ma, nie powiedzieli Jej , że ja jestem , dostaję tylko list od niej , szczęśliwy jestem, że go dostałem , ale szkoda, że nie przyszła, trudno nie wiedziała. Wieczorem dołącza do nas 7- miu , idziemy, ażeby pozabierać ludzi do oddziału . Organizowanie

oddziału trwa około 2 tygodnie. W tym czasie znów spada żałoba na nasz oddział - mianowicie szef kompani plut. „Most” zostaje zamordowany wraz z żoną przez zbirów niemieckich, znenawidzonych przez wszystkich, przez bandytów gestapowców. Strata duża, plut. „Most” był jednym z najlepszych podoficerów instruktorów i bardzo lubiany przez nas. Trudno, żołnierza polskiego teraz zawsze to czeka.

Z tego obozowiska ruszamy na święto żołnierza, które obchodzimy 15 sierpnia. Na święcie były nasze oddziały z najbliższych okolic i tutaj dopiero serce inaczej bije, kiedy widzimy nasze wojsko na olbrzymiej polanie ustawione w czworobok, a przed nami r.k.my, c.k.my i.t.p. I wtedy każdy z nas myślał, ażeby przyszli Niemcy, już nie setka ale i z tysiąc, pokonalibyśmy ich. Czujemy teraz, że jesteśmy tym prawdziwym wojskiem polskim, gdy wybije godzina odwetu na wrogu. W dniu tym otrzymałem awans, a to dostałem starszego strzelca. Awans nieduży, ale zaszczytny. Każdy wróg twierdzi, że nie ma państwa polskiego, że nie ma polskości, my żyjemy, znamy swoje wojsko, swój rząd, nie ustąpimy wrogom, aż wróg nasz legnie nam u stóp zwyciężony. Tak dzień 15 sierpnia jest dniem, w którym wojsko nasze obchodzi i zadokumentuje swoją siłę i swoje istnienie.

18 sierpnia wyruszamy, marsz całą noc, spoczynek 2 dni i znów marsz całą noc. Nad ranem powracamy na obozowisko, które jest pięknie umieszczone i zagospodarowane. Sam obóz jest na górze, na zboczu zaś kuchnia, oprócz tego jest jeszcze wędzarnia, rzeźnia jak i również stajnie. Namioty są porozstawiane w koło, w środku zaś namiot dowództwa. Obok powiewa flaga nasza narodowa, dumnie powiewa na wietrze, rozpostarta wskazuje, że Polska żyje, że państwo i naród istnieje, tylko czasowo musiało ulec przemocy wroga, ale godzina zemsty jest już blisko. A gdy przyjdzie czas to godło nasze narodowe nie tylko będzie w lesie, tu na naszych ziemiach, ale też daleko na zachodzie będzie powiewać. Na tym miejscu kwaterowaliśmy dłuższy czas. Stąd pamiętam wyjeżdżaliśmy wiele razy na patrole rekwizycyjne. Opiszę jeden patrol rekwizycyjny do Abramowa. Dlaczego ten patrol - może dlatego, że w tym kierunku, czy może dlatego, że pojechaliśmy sami strzelcy bez żadnego oficera czy podoficera. A może dlatego, że tej niedzieli była w obozie Zosia. Była niedługo parę godzin, była razem ze mną, razem jedliśmy obiad, razem siedzieliśmy i nie bałem się, że ktoś mnie zobaczy i z tego powodu ona będzie miała jakąś przykrość, nie znajdowaliśmy się naprawdę na ziemi polskiej, gdzie rządzą Polacy i prawo polskie. Ten dzień jest zawsze dla mnie bardzo drogi i na zawsze będzie w mojej pamięci głęboko wyryty. Nie zapomnę nigdy, jak myśmy się pożegnali, długo mi koledzy wspominali o tym, ten fakt utkwiał mi na zawsze i dlatego patrol ten był w tym dniu tak dla mnie pamiętnym. Wyjechaliśmy o 5-tej po południu, ciągle byłem pod wrażeniem odwiedzin, dopiero po 2 godzinach jazdy doszedłem do siebie, Jechaliśmy parę godzin, bo mieliśmy drogi około 25 km w jedną stronę. Jedziemy przez wioski, ale przez same wsie nie na furmance, lecz ubezpieczeni

pieszo . Tak mijaliśmy wsie. Około północy , jesteśmy na miejscu . Pod sam folwark idziemy pieszo . Ale zapomniałem powiedzieć, jaki cel tej wyprawy . Zadanie nasze polegało na tym : administrator tego folwarku za bardzo jest wierny Niemcom i wraz z nim są niewiasty, niewiele ustępujące jemu, to mieliśmy mu dobrze wkropić, a tym szanownym paniom też pyszczki porządnie obić , oprócz tego zabrać parę koni wraz z wozem , cielątka, świnie , i. t. p. Druga część zadania została wykonana , pierwsza zaś nie. Po podejściu pod folwark , obstawiliśmy go , tak , że nikt nie mógł się wydostać. Po wejściu do środka okazało się , że administratora nie ma . Był tylko jego gość , młody jakiś frajer z Lublina, i dwie niewiasty, dostało im się troszkę po buzi , ale okazało się , że to są inne , nie te, o które nam chodzi, trudno wojna jest wojną. Gospodarowaliśmy w tym folwarku przez trzy godziny . Do Frampola było tylko 4 km i tam 60 żandarmów , do Goraja zaś 6 i tam było 40- tu psów niemieckich , a nas tylko 8- miu młodych chłopaków . Ja między nimi byłem najstarszy , najmłodszy zaś liczył 16 lat , ale my ich się nie boimy. To oni właśnie nas się boją jak ognia, a my wiemy o tym i obrabiamy folwark na czysto , ale jeszcze tak biednego folwarku nie widziałem . Jak się później dowiedzieliśmy, wszystko chowają na noc obawiając się bandytów. Około godziny 3 wyjeżdżamy. Najbardziej był przegrany ten młody frajer z miasta nie umiejący obchodzić się z końmi , bo nam nie bardzo się chciało koło koni krzątać więc zagnaliśmy tego pętaka . Jaki on był biedny , przy końcu szkoda mi się go zrobiło i zagnałem go do domu , bo uwijał się między tymi końmi tylko w kalesonach i koszuli. Obie niewiasty doskonale mnie znają , jeszcze z cywila , a ja nie chciałem być poznanym. W pewnej chwili jedna z nich zbliżyła się do mnie, ja mówię: „ nie podchodź panno”, ona nic tylko idzie w moją stronę. Ja mówię: „ będę strzelał” , a ona: „ no to pan żartuje” i idzie w moją stronę . Niewiele mówiąc repetuję r. k. m. , no to się robi cicho , ale słyszeć chrzęst i trzask , na to ona już się złąkła i cofnęła . Wtedy powiedziałem jej , że nigdy słów nie puszczam na darmo , a za niewykonanie rozkazu zawsze w czasie wojny można nawet i kobietę zastrzelić . Wyjechaliśmy o godzinie 3 nad ranem na dwa wozy po 4-ech na każdym. Ja jechałem na pierwszym zdobywczym wozie , konie bardzo dobre , a droga przecież nie była dobra , tylko polna , pełna wyboi i.t.p. Na godzinę 7-mą rano byliśmy na miejscu.

Około 1-ego wyruszyliśmy na pamiętną akcję, tak zwana przez nas „akcję janowską”. Wyruszyliśmy 1-ego września, deszcz padał , około północy wszyscy byli zmoknięci , ani jednej suchej nitki. Nad ranem odpoczynek, zajęliśmy gajówkę , każdy się porozbijał i odpoczywa , po przespaniu się suszyliśmy wszystko . Pod wieczór wychodzimy i znów cała noc marszu , a deszcz leje , trasa dość długa , tak że jest dość ciężko iść, ale to nie teren piaszczysty , nie to co hrubieszowski czarnoziem . Cieszymy się, bo idziemy na akcję . Nie wiemy co to będzie za akcja. Jedni mówili , że idziemy na linię kolejową Lublin – Kraśnik zrobić pociąg amunicyjny , inni, że na dużą zasadzkę na żandarmerię na szosie z Kraśnika do Jarosławia i.t.p. Po pięciu etapach marszu

stanęliśmy pod Janowem , obóz nasz około 10 km od tego miasta . Nikt nie wiedział co to za akcja , kwaterowaliśmy około 4 dni . Pewnego popołudnia podział na patrole. Dostałem się do patrolu dowodzonego przez dowódcę całości „ Podkowę”. Patrol nasz był najliczniejszy , było nas dziesięciu. Patroli takich było 9 , 10-ty patrol nie miał tak jak my zadania bojowego, ale mieli za zadanie obrobić ze wszystkiego spółdzielnię . W skład naszego patrolu wchodził r.k.m. polski, celowniczy st. strzelec „Kaktus” i 1 .k. m. niemiecki , przy którym ja byłem celowniczym. O godzinie 5-tej wyruszamy. Idziemy przez lasy godzinę , dwie , trzy , cztery, przewodnik błądzi , musimy się wracać. Wracamy i idziemy jeszcze dwie godziny, znów błądzimy i znów wracamy , o godzinie 12-tej jesteśmy na przedmieściu Janowa . Następuje umieszczenie akcji i zadania poszczególnych patroli . wywiad stwierdził obecność 60-u żandarmów, którzy kwaterują w szkole dwupiętrowej. Do tej szkoły zbiegają się ulice i właśnie te dziewięć bojowych patroli naszych zajmują te ulice, ale w ten sposób , ażeby nie zdradzić siebie , tylko mieć obstrzał na szkołę . O godzinie 1-iej zaczynamy akcję . Akcja była przewidziana na 1 godzinę. Idziemy z lasu ulicą przez przedmieście i właśnie jest to główna ulica, która dochodzi do szkoły , na tej ulicy stoi nasz c.k.m. w odległości 60 metrów od szkoły . My zaś musimy bocznymi ulicami obchodzić , nie doszliśmy do wyznaczonego punktu , już zaczął grać nasz c .k. m. Podsunęliśmy się po paru minutach pod szkołę w odległości 25 metrów i usadowiliśmy się w murach domu zniszczonego przez działania wojenne polsko-niemieckie w roku 1939 . Siedzimy chwilę cicho , później zaczynamy ogień . Szukam stanowiska, ale po krótkiej chwili opieram l. k.m. na słupku na płocie i zaczynam ogień. Maszyna gra pięknie , a tyle co miałem strachu , że nie będzie strzelał , bo tego samego dnia czyszcząc l. k.m. rozebrałem przyrząd spustowy całkiem i przy rozbieraniu wyskoczyła mi mała sprężynka. Szukałem jej z dwoma kolegami przeszło 4 godziny i nie znalazłem , co robić - wyjąłem z maszynki do zapalania sprężynkę, która podaje kamień pod kółko , obciąłem ją i włożyłem . Jednak za małą ma średnicę i jest za twarda lecz ryzykuję, składam i działa przyrząd spustowy , ale nie jestem pewny czy wytrzyma w długim działaniu ogniowym. I teraz ciągnę , maszyna gra , chwała Bogu. Obok mnie zaczyna ogniem nękać nieprzyjaciela kolega „Kaktus”. Zaczynają strzelać do nas , strzelając pociskami świetlnymi widzimy jak kule lecą, szwaby strzelają później , kule zaczynają padać coraz to celniej . Widzimy, bo są świetlne , jak obijają się po szosie, po murze , zaczynają nas razić odpryski z muru . My rżniemy po oknach, gdzie tylko pokaże się błysk broni, ciągle na stojąco , ale zaczyna być gorąco . Szwaby strzelają coraz to celniej , raz po raz gwizdami i przeleci kula koło głowy , ręki i. t. p. Trzeba zmieniać stanowisko , położyłem się w otworze okiennym i zaczynam ogień , parę serii , l.k.m zacina się , a już godzina walki . Czas na wycofanie się, powinna być trąbka i 3 rakiety czerwone. Patrol 10- ty ,co obrabiał spółdzielnię pod dowództwem plut. „Osy” , spełnił swoje zadanie i wycofał się do lasu zagrawszy na trąbce , rakiety tylko jedną wystrzelili , bo dwa były niewypały. My o tym nie wiedzieliśmy, trąbki też nie było

słysząc ani u nas , ani u innych patroli, Niemcy zaś słyszeli i wtedy zaczęli pomału wychodzić ze szkoły myśląc, że my się wycofujemy. W tym czasie zacina się w naszym patrolu r. k. m. , ale „Kaktus” usuwa zacięcie szybko (co innego u mnie - jest zacięcie, które musi usunąć rusznikarz). Otrzymując rozkaz wycofania się do tyłu, nie chcę tego robić, bo wiem, że jestem tu potrzebny. Rozbieram l. k. m. , ale w tym czasie dowódca nasz każe nam się wycofać około 60 metrów do tyłu. Ulicą nie możemy, bo Niemcy rzną po szosie, aż strach, ale musimy posuwać się po szosie przez 2 płoty, a ja mam rozebrany l. k. m. .Co robić l. k. m składam do marynarki i tak przeskakuję te dwa płoty, umieszczam się w grochu , aby być niewidoczny przy oświetleniu rakietami i zaczynam reperować. Jeszcze przed wycofaniem por. „Podkowa” widząc usterki r. k. m i l. k. m., słysząc komendę niemiecką w tym sensie: ogień osłabł, atak naprzód, sam wydaje rozkaz: „ kompania do ataku”. Przy podtrzymywaniu głośno, równo walimy jakieś 6 granatów, a w tym czasie zaczyna „Kaktus” rznąć z r. k. m.. Reszta chłopaków rżnie z k. b. ków ,trzymamy szwabów w ogniu, od razu ich odsadziliśmy i dopiero się teraz wycofujemy, przeskakując te dwa płoty i jak powyżej wspomniałem osadziłem się w grochu, składając l. k. m. Ogień nieprzyjaciela zaczyna się wzmacniać, kule pokrywają całe przedpole, przed nami jest ostrzał liniowy przez nieprzyjaciela, leżymy w kartoflisku, nie ustępując w sile ognia nieprzyjacielowi. Koledzy oglądają się pytając czy l.km może strzelać. Odpowiadam że zaraz, ale sam nie jestem pewien czy będzie strzelał, bo to po nocy piasku się nasypało, a wiem, że na piasek to on jest bardzo czuły, tak że nie miałem pewności czy będzie strzelał. Tak pod ogniem nieprzyjaciela składam l. k. m. , minuty wydają się godzinami. Staram się złożyć jak najszybciej , ażeby kolegom ulżyć w akcji no i moje samopoczucie nie jest dobre, mam amunicję, mam broń, a nic z nimi nie mogą zrobić. Ale nie przejmuję się tym, dalej siedzę w grochu i składam, po jakichś 4 minutach złożyłem, zakładam taśmę, zamykam pokrywkę, przyciskam do ramienia i zdaję sobie sprawę jak ta broń jest mi teraz miła, jak to trzeba o nią dbać. Przecież ta broń dla żołnierza jest wszystkim w boju, to podstawa jego życia i śmierci. Tej broni, którą żołnierz zostawi brudną, robi jej wielką krzywdę, tak jak ona by mogła mówić,to by powiedziała: „, tak o mnie dbasz,tak mi się odwdzięczasz, ja Ciebie bronię przed nieprzyjacielem, coś ty byś wart był żołnierzyku beze mnie”. Tak pisałem, kiedy przytknąłem ramię do kolby i zobaczyłem błysk z broni, nie namyślałem się wiele, nacisnąłem spust i karabin zagrał. Odetchnąłem z ulgą, nie zawiodł mnie, teraz uczułem co to jest broń, jednocześnie ulżyło się moim współtowarzyszom broni.. Zaczęliśmy znów pociągać ogniem po nieprzyjacielu. Z lewej strony szczękały nasze r. k. m. ,bo na lewo od nas było naszych siedem patroli. Nasz c. k. m. , który obsługiwał kapral „Rzut”, pięknie krótkimi seriami zasypywał nieprzyjaciela, był on na pierwszej ulicy od nas. Sam celowniczy popisywał się bardzo dzielnie, ranny odłamkami z bruku nie dał się zastąpić w kierowaniu ogniem z c. k. m. lecz do końca trwał na posterunku. Rżniemy ogniem na nieprzyjaciela już przeszło 2 godziny, ale nie wycofujemy się, trwamy dalej, gdzieś za nami w tle ,

z tej stronie co myśmy przyszli, słyszymy wybuchy granatów, ale to nas nic nie obchodzi, tam jest przecież nasz obwód. W dalszej akcji zamierzamy przejść przez ulicę, a tam biją, że jak w dzień jasno od świetlnych pocisków. Pierwszy przeskoczył ulicę kol. „Kaktus”, kiedy on przeskakiwał, ja obstrzeliwałem ulicę wzdłuż leżąc z boku niej. Ciekawa rzecz kiedy myśmy strzelali oni milkli. „Kaktus” przeskoczył, teraz na mnie kolej. Biorę l. k. m. w połowie ciężkości, podrywam się i biegnę, zrobiłem parę kroków i zaczepiłem o krawężnik, leżę jak długi na środku szosy. Wtem nieprzyjaciół strzela raketą świetlną, widząc jak w dzień, Niemcy strzelają huraganowym ogniem. Widzę nad sobą po prostu dach świetlny z kul z boku, z przodu kule odbijają się od bruku, ja leżę, czekam, kiedy przestaną bić, leżę jakieś 50 sekund może minutę. Ogień cokolwiek może ustał, podrywam się kilka kroków i jestem bezpieczny za murem. Odsapnąłem, dopiero zdałem sobie sprawę, jak byłem zagrożony, ale nie ma czasu nad tym się zastanawiać, rzniemy dalej ogniem maszynowym, ażeby przeskoczyli nasi współtowarzysze z naszego patrolu. Później jak mi opowiadali koledzy to myśleli, że zostałem ranny lub zabity. Mówią: „, widzimy, że padł, a w tym czasie kule świetlne leciały jak muchy, czekamy pięć sekund, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, czterdzieści – leży, nie podnosi się, a seria za serią aż nagle podnosi się, lżej nam się zrobiło jak żeś wstał”. Oczywiście miałem dużo szczęścia, tylko zdarłem sobie nogę i więcej jak miesiąc miałem rankę, no ale dalej powracam do akcji. Po przeskoczeniu szosy obeszlśmy szkołę z drugiej strony i walimy. To trwa około 3 godzin, porucznik mówi, że musimy się wycofać, ponieważ już niedługo będzie szarzyć, a my musimy jeszcze zrobić odskok. Ściągamy następny patrol, który był z naszej prawej strony i z tej strony już więcej patroli nie było.

Wycofujemy się, rakiety świetlne są co chwila wystrzeliwane przez nieprzyjaciela, widno jak w dzień musimy się kryć, ażeby nie być obstrzelanym, bo jak jest ciemno, to w polu nic nam nie grozi, a nieprzyjaciół na ślepo strzela to tym bardziej musimy w czasie oświetlenia raketą kryć się, ażeby nie być celem. Po dołączeniu pierwszego patrolu wracamy do głównej ulicy, czekamy. Dochodzi do nas patrol z c. k. m., tu też jeden ze strzelców ma trąbkę, trąbi bardzo głośno i wyraźnie. Patrole zaczynają pomału wycofywać się jeden za drugim. W jednym z patroli niosą ciężko rannego kol. „Zapalnika”. Na przedmieściu zabieramy furmankę, kładziemy go i jazda do lasu, ale przed tym jeszcze parę minut przyjechały 3 auta z żandarmerią z Biłgoraja. Zaczynają atakować z boku, ale ubezpieczenie boczne przepędza ich i muszą się cofnąć. Ściągamy wszystkie patrole, kończymy akcję. Tylne ubezpieczenie za nami, wtem zaczynają się rwać granaty - to żandarmeria zaczyna strzelać do nas z granatników. Jeden ze strzelców jest ranny, dostaje odłamkiem w twarz, pada, krew mu zalewa całą twarz, koledzy go prowadzą. Dużo szczęścia miał sierżant „Ozdoba”, niosąc karabin w rękę, odłamek uciał k. b. na dwie połowy jednocześnie raniąc go w nogę. Szybko zorientowaliśmy się, że granaty rwą się tylko na drodze. Wtedy my od razu zeszlśmy na pole, idąc powoli w swoim kierunku. Raz po raz rakiety świetlne oświetlały nam pole

widzenia, nieprzyjaciel zaciekle strzela, tak że tylko świst i gwizd kul nad nami. Pomału dochodzimy do lasu. Tu stoją furmanki z łupem i furmanka z rannymi, są robione pierwsze opatrunki. Kol. „Zapalnik” ma przestrzelony pośladek, a kula wyszła mu przez pachwinę. Krwawi, nie można mu wstrzymać krwi, ale po jakiejś pół godzinie udało się krwawienie zatamować, zostaje obandażowany i dobrze ułożony na wozie, reszta rannych już opatrzona.

Już szarzeje, a my zaledwie trzy kilometry uszliśmy, a tu jeszcze w odskok idę z całym naszym patrolem na tylnym ubezpieczeniu. Tak posuwamy się naprzód, po 2 godzinnym marszu oddział nasz dzieli się na dwie części. My, duży oddział idziemy w innym kierunku, patrol z 8 ludźmi wraca na obozowisko, do miejsca wyjścia na akcję, ażeby zabrać tabory, kuchnie i. t. p. My zaś idziemy dalej i dalej, odsuwamy się od Janowa, ażeby około południa kwaterować się. . Miejscem naszego zatrzymania jest część młodego lasu, we wrzosach bardzo wysokich, sięgających prawie po pas. Furmanki między krzakami, nie widać nas na 20 metrów, cisza absolutna, skromne śniadanie i odpoczynek. Jednak najpierw każdy z nas czyści broń, by doprowadzić ją do stanu pewności strzelania tak, ażeby jakiegoś zaskoczenia nie było. W tym etapie mieliśmy bardzo nieszczęśliwy wypadek. Mianowicie celowniczy l. k. m. niemieckiego, zmęczony się, dał koledze do niesienia, ten biorąc nacisnął spust i nastąpił wystrzał. Celowniczy, którym był st. strzelec „Szapino”, dostał kulą w prawą pierś, upadł od razu, zrobiono mu z miejsca opatrunek, położyliśmy go na wozie, ale on już był w stanie beznadziejnym i w trzy godziny po postrzale na tym postoju umarł. Umyliśmy go, włożyliśmy na wóz. Reszta rannych czuła się trochę lepiej. Jeden „Zapalnik” był w gorszym stanie.

Teraz trochę o rzeczach zdobytych. Zdobyliśmy dwa wozy ładowne materiałów na ubrania, jeden wóz butów, wóz rozmaitych rzeczy, 3 wozy wódki i. t.d. Cały dzień staliśmy tam na tym miejscu. Na cały dzień z jedzenia dostaliśmy po kromce chleba i po kawałku słoniny. Woleliśmy głodni spać niż się wałęsać. Tak nam zeszło do południa i popołudniu. Przed wyjazdem zrobiliśmy opatrunki chorym. Kol. „Zapalnik” czuje się coraz to gorzej, dostaje zastrzyk i chcemy go jak najprędzej odwieźć do szpitala. Pod wieczór wyruszamy, staramy się być jak najciszej i rzeczywiście marsz był bez rozmów i krzyków, tylko od czasu do czasu furman głośniej poganiał konie, czy też wóz głośniej skrzypnął. 3 godziny marszu, odpoczynek 2 godziny - jednocześnie kolacja, dostajemy po dość sporym kawałku chleba i kawałeczku słoniny. Zjadłem z wielkim apetytem i położyłem się na ziemi. Zasnąłem szybko i spałem ze dwie godziny. Maszerujemy znów, około północy ranni zostają od nas odłączeni i zabrani do szpitala. Bardzo cierpiał „Zapalnik”, cały czas marszu opiekowałem się nim. Okrywałem go ponieważ była zimna noc, pocieszałem go, że wyzdrowieje szybko, że do szpitala niedaleko. On miał dużą gorączkę i bardzo cierpiał. Kiedy ich zabrali, ucieszyliśmy się bardzo, że nareszcie będą w szpitalu pod dobrą opieką lekarską. Dowiedzieliśmy się później, że Zapalnik zmarł pod samym szpitalem.

Około 12-tej w południe jesteśmy w obozie gdzie kwaterowała i czekała na nas nasza grupa. Oni przyszedli przed wieczorem, zaraz dostaliśmy gorącą kawę, która pokrzepiła nas bardzo, zabrałem swoje rzeczy i położyłem się spać. Dopiero wtedy wyspałem się doskonale, spałem całe popołudnie i całą noc dlatego, że miałem się już czym nakryć. Nie wstałem ani na obiad ani na kolację, tak byłem zmęczony. Rano czułem się naprawdę rześki, tak to robi wyspanie się. Dzień ten nie był dla nas bardzo dobry, było u nas w obozie bardzo przykre zajście, nie będę opisywał co i jak, ale skończyło się na śmierci jednego z podoficerów.

Na następny dzień przywieziono trumnę, przyszedł ksiądz i pochowaliśmy ich na wzgórku z tym, że za jakiś tydzień miejscowa placówka przeniesie ich na cmentarz. Tego samego dnia spotkałem się z kolegą z mojej rodzinnej miejscowości. Przyszedł do nas do obozu, tak to jest, że my młodzi choć jeden od drugiego daleko, jednakowo myślimy i jeden cel mamy, jedną drogą idąc do niego. Bardzo byłem z tego spotkania zadowolony, tak samo i on był zaskoczony tym, że mnie widzi, tak mi opowiadał. Słyszał o tym, że ja byłem w tym roku ranny i nie myślał, że mogę jeszcze zdolnym być do tych ciężkich, niekiedy bardzo ciężkich trudów żołnierza.

Na następny dzień wieczorem nareszcie wyruszyliśmy w nasze strony. Naprawdę każdy z nas czuł się w tych lasach tak nieswojo, czy dlatego, że te lasy były inne od naszych, bo staliśmy w lasach prawie całkiem jodłowych, tak mi się zdaje że jodłowy las jest bardzo ponury, taki więcej dziki i może więcej zimny. Lasy nasze to przeważnie lasy sosnowe, miłsze sercu. Ale nie tylko nas tęsknota gnała za naszymi lasami, gnały nas te niemiłe wspomnienia, śmierć dwóch ludzi, trzech rannych, to takie niemiłe. Przecież oni szli tak samo na pewno z myślą, że nic im nie będzie, że wrócą do swoich, że dalej będą prowadzić wojnę z wrogiem. Lecz trudno, dla nich wojna się skończyła, tak leżą teraz gdzieś daleko od swoich stron. Ta śmierć nas przygnębiła nie dlatego, że zginęli, tylko dlatego, że nie w boju tylko w wypadku. Jak wiemy „Zapalnik” też umarł, ale umarł jako żołnierz, zaszczytną śmiercią żołnierza polskiego i na nas śmierć jego nie zrobiła żadnego przygnębiającego wrażenia. Owszem pożałowaliśmy go jako żołnierza, wiemy o tym dobrze, że na każdego z nas śmierć czyha. I dlatego odetchnęliśmy, jak zaczęliśmy opuszczać te lasy.

Nad ranem kwaterujemy, marsz był długi - przeszło 30 km. Tutaj już nie kwaterowaliśmy w lesie pod namiotami, ale zajęliśmy gajówkę i spanie w stodole na sianie i słomie. Tutaj naprawdę odpoczęliśmy. Po 2 dniach odpoczynku, marsz w noc, w dzień odpoczynek i znów marsz i nad ranem jesteśmy na miejscu wyjścia. Kiedy przyszedliśmy, zaraz mamy gości. Wszyscy pragną się dowiedzieć, gdzie byliśmy, co robiliśmy, ale od nas dużo się nie dowiedzą, bo my nie lubimy dużo rozmawiać. Jest goniec z mojej miejscowości. Piszę list do rodziców i do Zosi. Piszę, że jestem zdrowy, że niedługo się zobaczymy. Tak, jestem pewien, że Ona się bardzo martwiła. Na pewno domyślała się, że poszliśmy na jakąś akcję, ale przecież nie wiedziała gdzie i po co. Po 3 dniach otrzymuję od niej list. Znów mam wielką radość, przecież już przeszło 3 tygodnie nie miałem od

niej żadnego słowa, czyż nie mam się z czego cieszyć. Tak to dla żołnierza list od dziewczyny jest bardzo drogi, nie wiem jak dla kogo ale dla mnie tak. Teraz mamy, że się tak wyrażę, labę. Zająć bardzo mało, tylko odpoczynek. Zaczynamy mówić między sobą, widocznie będzie jakaś akcja, dlatego nabieramy sił.

Pewnego dnia rozkaz: przygotować się do wymarszu. Wieczorem marsz, idziemy tą samą drogą, co do Janowa. Zaczynamy mówić, widocznie idziemy go poprawić. Bo zdaje się, że wywiad stwierdził obecność 60 żandarmów, a tu przed wieczorem jeszcze ich parę samochodów przyjechało i musieliśmy stoczyć walkę z 200, a w końcowej fazie było ich 260, bo jak wiemy przy końcu akcji przyjechały jeszcze 3 samochody żandarmerii. Idziemy, a tu pierwszy postój w tej samej gajówce co i przed tym, no to jesteśmy pewni, że idziemy znów pod Janów. Znużeni śpimy, no i noc, rano rozkaz przygotować się do wymarszu. Około godziny 11-tej przed południem wymarsz, idziemy na południe. No to idziemy w takim razie gdzieś indziej. Marsz wolny, bardzo wolny. Maszerujemy jakieś 3 godziny. Obozujemy w młodym, pięknym lesie sosnowym, wokół wrzos, no i dzień słoneczny. Więc z przyjemnością kładę się w ten wrzos i drzemię. Po godzinie 4-ej obiad. Po obiedzie zaczyna już nas pomału interesować, jaka będzie robota. Każdy z nas gdzie może, stara się dowiedzieć co będzie i gdzie ta akcja. Czy miasto, czy duża zasadzka. Nikt z nas nie wie. Nocujemy w tych pięknych wrzosach. Naprawdę było się gdzie dobrze wyspać. Rano po pobudce każdy był naprawdę doskonale wypoczęty. Tak spędzamy dzień do wieczora na rozmowach, na spaniu i. t. p.

Przed południem przybywa do nas dowódca jednego z naszych oddziałów, ale w innym miejscu kwaterujących. No i odprawa. Aha, będzie gruba robota. Po obiedzie przygotowanie do wymarszu. Podział na patrole, omówienie akcji. Dopiero teraz dowiadujemy się, że idziemy rozbić więzienie, w którym jest około 45 naszych ludzi aresztowanych. Ucieszyliśmy się, bo wiemy dobrze co to znaczy być w niemieckich rękach, to przecież kaźnia, to znęcanie się wściekłego psa na bezbronnych, tak Hitler wychował sobie w ludzkiej skórze wściekłe bestie. Radość po prostu na każdym kroku, w każdym z nas widać, że cieszymy się z tego. Wieczorem wyruszamy, idziemy, ja z l. k. m jestem przydzielony na ubezpieczenie przednie. W akcji mam za zadanie wysunąć się z patroliem przed kościół naprzeciw budynku gestapo i stąd razić ich budynek. Budynek jest drewniany, ale po prostu ufortyfikowany, ściany są pozakładane workami z piaskiem, porobili sobie strzelnice, w otworach tych karabiny maszynowe. Idziemy powoli, noga za nogą, posuwamy się około godziny. Jesteśmy na skraju, dowódca dla pewności wysłał gońca do oddziału „Groma”, bo akcja ma zacząć się o godzinie 8-mej, a on znów ma uderzyć na miasto- przeciąć miasto na połowę tak, że mieliśmy mieć gestapo w środku. Czekamy godzinę, dwie nie ma gońca, godzina 10-ta, 11-ta przybywa goniec, mówi nie mogą znaleźć oddziału, wracamy, zaczyna być zimno, pada deszcz, co robić, nie udaje się, idziemy dalej do suszarki szyszek. Są dwa budynki, w jednym kompania

warszawska, w drugim my, śpimy pod dachem, nie mokniemy. Z tego się cieszymy, tak dobrze jest pod dachem, za kołnierz się nie leje i dlatego człowiek jak rano wstaje, to dobrze się czuje.

Nad ranem około godziny 3-ej budzą nas patrole na zasadzkę. Do szosy 4 km, to musimy wyjść wcześniej, spodziewamy się, że będą wieźli samochodami więźniów, to przecież musimy ich odbić z tych strasznych rąk. Idziemy godzinę. Podchodzimy do szosy, cicho, nikogo nie widać, na zasadzce jesteśmy w 8 r. k. mów, ja z l. k. m. mam dobre stanowisko zrobione już przez Niemców. W czasie pacyfikacji robili właśnie z tej strony wnęki strzeleckie i one teraz służą dla nas. Oj, żeby szwabki wiedziały o tym, że robią na swoją skórę! Siedzimy godzinę, jedzie auto żandarmerii, obserwator daje nam znać, że nikogo nie wiozą. Po jakimś czasie jedzie taksówka - to gestapo. Widzimy maszyny, pistolety, z tyłu r. k. m. Mamy chęć ich załatwić, ślinka po prostu z ust leci, ale nie wolno, bo popsujemy sobie robotę. Po jakimś czasie znów samochód żandarmerii i znowu człowiek ledwo siedzi na stanowisku. Żeby oni wiedzieli jak blisko śmierć koło nich, to na pewno by zawrócili z drogi. Siedzimy dalej, jedzie kolejka, ale nie ma gońca, znaczy się nie wiozą ich, ale żandarmi jadą. Siedzimy tak do godziny 2-ej po południu. Przychodzi zmiana, my idziemy na odpoczynek. Wracamy zmarznięci i głodni, po godzinie jesteśmy w obozie. Obiad nam bardzo smakuje, po obiedzie spoczywamy. Czekamy na gońca. Przybywa z wiadomością, ale złą: nie można znaleźć oddziału „Groma”, po prostu znikł, zapadł się pod ziemię. A tu w więzieniu biłgorajskim 45 naszych czeka na odbicie, maltretowanych przez gestapo, oni są powiadomieni, że będą odbici. Nocujemy w lesie.

O czwartej znów idziemy na zasadzkę i znów 10 godzin leżenia na ziemi, deszczyk mży, jest zimno, ale trudno, na posterunku musimy wytrwać, o drugiej podmiana. Dowództwo się denerwuje, a „Groma” jak nie ma tak niema. Postanawiają ściągnąć por. „Norberta”. O 8-mej wieczorem wyjeżdża patrol konny, mają do zrobienia około 45 km. Wyjeżdżają. My, strzelcy między sobą rozmawiamy czy zdążą. Jeśli nie zdążą, mamy uderzyć sami. Samopoczucie nasze jest coraz gorsze, bo jeśli nie przybędą, to musimy uderzyć sami, a wiemy dokładnie, że w koszarach jest przeszło 300 żołnierzy, oprócz żandarmerii i gestapo. A jak nam się nie uda, co będą mówili ludzie, taka duża odpowiedzialność, przecież możemy stracić zaufanie.

Rano znów idziemy na zasadzkę, o 2-ej zmiana. Przychodzimy, zjedliśmy obiad i znów rozprawiamy nad tym czy zdążą czy nie. Tak schodzi do godziny 4-tej. O 4-tej wpada do obozu na koniu plut. „Pliszka”, dowódca patrolu z dobrą wieścią: „Norberciaki” za 20 minut będą w obozie. Nie minęła 15, wchodzi: na czele porucznik „Norbert”, por. „Kabel”, dalej podąża szef kompanii plut. „Konrad” i cała stara „nasza wiara”. Witamy ich entuzjastycznie, naprawdę jeszcze się tak nie witaliśmy. Tak nam byli mili i drodzy w tej chwili, odczuliśmy wszyscy to braterstwo broni, to, że w każdym w nas bije serce Polski. Myślę, że takich chwil w życiu jest mało, każdy ze strzelców czy dowódców był nam tak bliski może bliższy od ojca, matki czy brata. To była jedność! W

każdym jedna myśl, jedno pragnienie, zauważyli i odczuli to też „Norberciaki”, każdy z nas czym miał, dzielił się z nimi. Och, jak by to w naszej Polsce było, gdyby to braterstwo między Polakami na zawsze pozostało.

Zaczęły się rozmowy. Patrol nasz znalazł ich o godzinie 7 rano, przygotowanie do wymarszu i odjazd furmankami w biały dzień. Tak jeszcze nikt nie jechał. Żołnierz polski jechał między wrogiem, jak tylko chciał.. Chłopaki zmęczeni, odpoczywają, o 7 przecież wymarsz na akcję. Samopoczucie nasze jest doskonałe. Siódma - wyruszamy, ale akcja ma wyglądać inaczej , mamy tylko odciąć więzienie od miasta. Idziemy, dochodzimy do szosy. Wtem słyszymy warkot samochodów. Zatrzymujemy się, kładziemy i obserwujemy. Widzimy 6 samochodów ciężarowych a na nich żandarmeria, około 150, jak dobrze się składa, będzie lżejsza robota, a szwabys będą źli i będą się wściekać, że wiedzieliśmy, kiedy na nich uderzyć. I znowu szczęście przy nas. Przechodzimy szosę. Idziemy dalej, mijamy stację kolei wąskotorowej Rapy, tutaj patrol wysłany naprzód niszczy urządzenia telefoniczne. Mijamy Rapy, podsuwamy się dalej, godzina 9-ta, zaczynamy akcję. Ja z l. k. m, c. k. m. i 6 r. k. m jesteśmy przed więzieniem od strony miasta. Odcinamy więzienie od miasta na szosie Zwierzyniec-Biłgoraj, obok nas 3 r. k. m w następnej ulicy. Mamy miasto w pierścieniu. Nie boimy się, bo tam nasze patrole, od tyłu ubezpieczenie tylne z c. k. m i r. k. mami. Jesteśmy teraz pewni, że jeśli będą chcieli nas wyprzeć, to muszą atakować wszędzie bronią maszynową. Słyszymy rozkaz do otwarcia więzienia i poddania się, nie odpowiadają, strzelają raketę czerwoną, to znaczy, że są w niebezpieczeństwie. Padają pierwsze strzały. Widzimy, że Niemcy strzelają świetlnymi pociskami, strzały do góry, śmiejemy się. Zaczynamy ogień, maszyny grają ogień piekielny. Niemcy milkną, słyszymy drugie wezwanie do poddania się, trzecie. Odpowiedź strażników: „nie poddajemy się”. Wtem wybuch - to nasi walą granatami, my strzelamy, Niemcy odpowiadają, ale ogień jest mały. Nasi dostają się do środka więzienia. Słyszymy okrzyk: „niech żyje wojsko polskie”. Po tym właśnie wiemy, że więzienie zdobyte. Rozkaz do wycofania. Pomału ściągają patrole, sprawdzamy - nikt nie jest z nas ani ranny, ani kontuzjowany, liczymy więźniów: 72. Ale głównie chodzi nam o więźniów politycznych - są wszyscy 45 - ciu, zadanie wykonane!

Teraz wymarsz , maszerujemy dość szybko całą noc. Nad ranem postój, odskok duży - prawie 25 km Akcja nasza trwała 45 minut. Tak szybko, nie spodziewaliśmy się tego, ale szczęście było przy nas. Postój nasz jest dość długi, bo trwa 4 dni. Wiadomości z terenu napływają do nas szybko. Okoliczni ludzie są akcją zachwyceni. Widzą, że jest jednak oprócz okupanta wojsko polskie, które walczy z nim i zwycięża . Nawet gestapo wyraziło się bardzo pochlebnie, mówili, że robota była fachowo wykonana.

Po rozpuszczeniu więźniów część została w naszym oddziale. Wyruszyliśmy w południe, idziemy lasami, później dochodzimy do szosy, mieliśmy iść znów drogą leśną, ale dowództwo

postanawia iść szosą. Oddział nasz rozciąga się na przestrzeni kilometra . Naprzód idą szperacze, później wspiera siła główna, za nią tabory, ja z l. k. m idę jako ubezpieczenie tylne ze 300 metrów za taborem. Przeszliśmy się około 6 km, nie napotykamy nikogo, ani Niemców , ani Ukraińców. Posuwamy się około 2 godzin szosą. Naprawdę , tak wolno noga za nogą. Mamy skręcać, bo droga do naszego postoju skręca ku południowi, tabory zjeżdżają z szosy i wjeżdżają na górę w zagajnik. Jeden patrol jedzie po chleb, my zaś siadamy przy szosie i czekamy. Jest zimno, deszczyk mży, jest naprawdę pogoda jesienna.. Dla rozgrzania ścinamy słupy linii telefonicznej i niszczymy ją na odcinku długości 300 metrów. Pod wieczór przyjeżdżają z chlebem, więc odchodzimy niedaleko, jakieś 800 metrów od szosy, odpoczynek i kolacja. Palimy ogniska z dala widoczne, około godziny 2- giej w nocy wyruszamy dalej. Marsz ciężki, ciemno na parę metrów nic nie widać, droga przebiega przez teren bagnisty, pełna dołów, wybojów i korzeni. Posuwamy się wolno. Po paru godzinach marszu dochodzimy do niezamieszkałej gajówki, zakwaterowujemy się i odpoczynek, wartownicy nas ubezpieczają, kucharz gotuje posiłek, reszta oddziału śpi. Dobre mamy spanie. Stodoła, siano - dla nas lepszego zakwaterowania nie trzeba, to dla nas jest po prostu pałac. Śpimy twardo i dobrze, w południe śniadanie i dalej odpoczynek, śpimy, tylko wstajemy na jedzenie.

Na drugi dzień rano pobudka o 7-mej , śniadanie i przygotowanie do wymarszu. o 8-mej rano odchodzimy. Idziemy dalej lasem, marsz wolny noga za nogą, mniej więcej około 3 km na godzinę. Po 6 godzinach marszu dochodzimy na miejsce postoju. Miejsce jest ładne, stoimy w rzadkim zagajniku ,może 40- letnim, porośłym wielkim wrzosem. Jak stanąłem w nim, to był mi po pas, takiego wrzosu w swoich okolicach nigdy nie widziałem. Zakładamy obóz, przywiązałem z kolegą pałatkę nad samymi wrzosami, kolacja i śpimy. Wypogodziło się, wyspaliśmy się dobrze. Rano kąpiel w Tanwi ona bowiem płynie tutaj. Choć jest październik, kąpiemy się. Zakładamy później siatkę i gramy w siatkówkę. Obiad i znów gramy w siatkę. Na tym obozowisku stoimy dwa dni, a później wymarsz. Przejeżdżamy Tanew i maszerujemy dalej, bliżej toru kolejowego. Maszerujemy jakieś 3 godziny i jesteśmy na miejscu, zakładamy obóz. Tutaj spotykamy się z kolegą szkolnym podch. „Ligotą”, nie widzieliśmy się przeszło 4 lata.

Na tym obozowisku mamy wesołą historię, urządziliśmy kawał jednemu koledze, a wyglądało to tak. Kol. „Wiraż” stał nad ranem na warcie, w tym czasie przejeżdżał oddział „Błyskawicy” z robotą z Tomaszowa, gdzie obrobili mleczarnię. Dali mu parę kilogramów masła, inny nasz kolega znalazł butelkę farby do serów i zabrał ją z sobą. W czasie śniadania pijemy kawę i jemy chleb, mówimy: „Wiraż” daj masła. On nie chce, tłumaczy się, że ma mało, że chce wypić mleko z masłem, bo ma kaszel. Czekaj no, taki z ciebie kolega, to my cię zrobimy... Za jakąś godzinę przychodzi do niego „Wicher” i mu mówi: „Wiraż” ja mam butelkę szampana,a ty daj masła do chleba, to wypijemy” i pokazuje mu butelkę z farbą. Na pierwszy rzut oka można było wziąć to za szampan, bo rzeczywiście butelka była z szampana - ładny papier naklejony na nią,

dobrze zalakowana, korek i lak zaklejony, ale na drugiej stronie kartka z napisem „Farba do serów” po niemiecku. „Wiraż” mówi: dobrze, ale „Wicher” mówi, że we dwóch nie będzie pił, bo się upije, a tu jest z litr, to trzeba nas z dziesięciu. „Wiraż” zgadza się, a „Wicher” woła nas. Bierzymy chleb i idziemy w krzaki niby to pic. „Wiraż” bierze masło. Wszyscy smarujemy chleb tak, że masła jest więcej jak chleba, nalewamy w szklanę i zaczyna „Wiraż” pić. Nachyla szklanę, „Wicher” mu wrywa, bo przecież może mu to zaszkodzić. „Wiraż” na to: „żałujesz, dopiero łyknąłem”. Pije, a my zajadamy masło z chlebem. On łyknął jeszcze raz i zorientował się, że jest coś nie w porządku. Patrzymy, a usta i język „Wiraża” całe czerwone, zaczyna pluć, my się śmiejemy. Ale jeden z nas biegnie do lekarza i pyta, czy nie będzie jakichś złych skutków, ten mówi, że nie, ale każe przysłać „Wiraża”, to go postraszy. Idziemy do „Wiraża” i tak niby go nie widzimy, rozmawiamy między sobą: „patrz, jak on na zmianę blednie i czerwienieje, on się otruł, trzeba, żeby poszedł do lekarza”. Chłopak nie wie co robić, biegnie do lekarza. Lekarz go pyta, co się stało i stwierdził, że to ciężkie zatrucie, a w obozie nie ma żadnych lekarstw. Powiedział „Wirażowi”, że jak nie umrze do 5 godzin, to będzie żył, a jak nie to trudno, na zatrucie tą farbą muszę mieć lekarstwo z apteki, a za 5 godzin nie zdążą przywieźć. Chłopak chodzi tylko i pluje, potem palec w usta i „jedzie do Rygi”. My chodzimy tylko i śmiejemy się, około południa powiedzieliśmy mu, że to wszystko lipa i żeby pamiętał, że zawsze trzeba być koleżeńskim i z kolegami się wszystkim dzielić.

Po południu przyjechał podch. „Ligota” i jedziemy na patrol do obozu „Błyskawicy” odległego o 8 kilometrów. Jedziemy furmanką, rozmawiamy obaj, wspominamy przedwojenne czasy, jak graliśmy jeżdżąc na zawody sportowe, bo trzeba wiedzieć, że przed wojną zajmowaliśmy się sportem i nie w jednym mieście graliśmy. Po dwugodzinnej jeździe jesteśmy na miejscu. Ta jazda i rozmowa przyjacielska odbiła się później na mnie, dlatego, że nie poznałem drogi ze wszystkimi szczegółami, ale to opiszę później. W obozie zostaliśmy gościnnie przyjęci (masło, mięso i wódka) i znów spotkałem kilku swoich kolegów szkolnych. Pamiętam, ileż to razy w szkole rozmawialiśmy, że nasi ojcowie mieli okazję walczyć z nieprzyjacielem, a my młodzi nie możemy. A teraz i my mamy walkę ciężką o jakiej się nawet naszym ojcom nie śniło, tak wymarzyliśmy sobie wojaczkę. Po paru godzinach odjeżdżamy, dostajemy 2 beczki masła.

Jednego dnia o godzinie 8-ej wieczorem dostałem rozkaz, ażeby jako przewodnik zaprowadzić patrol do obozu „Błyskawicy”. Idziemy, w marszu naszym nie mamy żadnych przeszkód, prowadzę dobrze, około godziny 11 dochodzimy do spalonej wsi przez Niemców i tutaj nie mogę znaleźć drogi do obozu. Teraz wychodzą skutki mojej rozmowy z kolegą. Szukam ze dwie godziny, kładziemy się pod krzakiem i śpimy. Świta, budzimy się i wtedy okazuje się, że śpimy właśnie obok szukanej przeze mnie drogi. Tak trudno jest orientować się w lesie nocą. Po 25 minutach jesteśmy w obozie. Dowódca naszego patrolu wręcza meldunek „Błyskawicy”, ten czyta, zarządza pobudkę i każe przygotować 3 pary koni. Jemy śniadanie, wymarsz, część oddziału

pieszo, część zaś na tych furmankach (my jedziemy). Po 3 godzinach jesteśmy w naszym obozie. Teraz dowiadujemy się po co to wszystko: mamy „zrobić” pociąg z amunicją i bronią maszynową, który ma jechać tą linią. Takie transporty jadą tylko w dzień, ale trudno dowiedzieć się o której godzinie. Dlatego jesteśmy w pogotowiu, każdy ubrany w strój patrolowy, konie we wozach, goniec przybywa ,a my na fury i jazda pod tor. Każdy miał swoje zadanie, ja z 1 .k. m miałem szturmować na wroga z eskortą. W pogotowiu musimy być 4 dni. Piątego dnia przyjechał goniec z wiadomością, że jedzie pociąg, ale z częściami samolotowymi, a to nam było niepotrzebne.

Jeszcze staliśmy tutaj 1 dzień i odmarsz w nasze strony. Idziemy w dzień, tą samą drogą co przyszlśmy. Maszerować w dzień jest dużo lżej, o wiele lepiej niż w nocy. Pod wieczór jesteśmy w gajówce. Tu stoimy parę dni i odchodzimy dalej. Wychodzimy w dzień, nad wieczorem znów kwaterujemy, całą noc spędzamy pod dachem. Bardzo przyjemnie, bo już przecież października początek, to przymrozki w nocy, a my śpimy jeden obok drugiego, dobrze kocami nakryci. W sianie to ciepło, a tu takie zdrowe powietrze, naprawdę bardzo przyjemnie. I znów rano wymarsz cały dzień, robimy około 30 km. Jesteśmy pod szosą, przechodzimy ją już wieczorem i podążamy w nasze stare obozowisko, ale zatrzymujemy się bliżej.

Z tego miejsca idziemy na zasadzkę, mają wieść 3 samochody aresztowanych, chcemy ich odbić, ale nic z tego - nie pokazał się ani jeden samochód. Wracamy zmarznięci i głodni. Śpimy całą noc i zmieniamy obozowisko. Idziemy jakieś 7 km i zajmujemy prymitywne obozowisko. Stąd zostałem wysłany jako łącznik do jednej z miejscowości,. idę tam, czekam na kontakt aż do wieczora, po załatwieniu wracam. Cóż zastaję, wszyscy wychodzą, ja mam zostać. Pytam się dokąd idą, nic mi nie mówią. Trudno, zostałem. Teraz dopiero, tak na ucho powiedział mi szef, że nasze oddziały zostały otoczone pod jedną z miejscowości , toczą ciężki walki, nie mogą oderwać się od nieprzyjaciela, musimy im pomóc. Wieczorem jedziemy z szefem do jednej z pobliskich miejscowości, gdzie przyjechała jego żona wraz z dziećmi. Tam jesteśmy na kolacji i o godzinie 11-tej w nocy wracamy furmanką, odwiezieni przez jego szwagra. Resztę nocy śpimy na wozach. Rano zmieniamy miejsce postoju, jedziemy bliżej wody i w gęstszy las, bo tu staliśmy na samym skraju. Po godzinie jesteśmy na miejscu, jest nas sześciu i dwie fury, ale co nas to obchodzi, że nas jest tak mało, nikt tego nie wie. W razie czego będziemy się bronili do ostatka. Jest piękny dzień, słońce świeci, choć to już październik, ale dogrzewa. Idę na rydze, jeszcze w moim życiu tyle rydzów nie widziałem, naprawdę w niektórych miejscach nie było gdzie nogi postawić. Po pół godzinie miałem dwa wiadra rydzów, same małe na marynatę. Gotuję je, a potem solę, chociaż nie mam octu, ale ma być dostarczony. Jemy śniadanie: kawa czarna (do tego gorzka) i bułeczki z masłem.

Po południu, przyjeżdża „Wiewiórka” wraz z plut. „Lasotą” z rozkazem zlikwidowania niepotrzebnych rzeczy. Tylko zabrać żywność i broń ze sobą. Jedziemy jedną furą. Wieczorem jesteśmy pod szosą, tu mamy czekać na łącznika. Około godziny 11-tej w nocy przychodzi por.

„Podkowa” z 6- cioma ludźmi. Ludzie ci wracają na placówkę, około północy wyruszamy. Wyjeżdżamy na szosę i jedziemy nią blisko kilometr na zachód, potem skręcamy na południe, po pół godzinie jesteśmy na miejscu. Widzę przy ogniskach kolegów pomęczonych i pomarżniętych, bo trzeba wiedzieć, że w październiku noce są bardzo zimne, a do tego byli oni bardzo głodni, bo już dobiegł nic nie jedli, a zrobili więcej niż 50 km. Nastawiam kawę, za 45 minut jest gotowa, po kromce chleba i po bułeczce z masłem. Chłopaki zjedli, jak to się mówi, tylko się kurzyło i wtedy z przyjemnością położyli się spać. Nad ranem około 4-tej wyruszamy, jedziemy tym samym szlakiem, widnieje, ale tak wielka mgła, że na 20 kroków nie było nic widać. Jedziemy szosą, a potem skręcamy w las, lasem z pół kilometra i znów przejeżdżamy przez drugą szosę i w las. Tu po przejechaniu 300 metrów następuje postój i stąd por. „Wolina” idzie na dwa dni na odpoczynek. Po paru minutach wraca i mówi, że w P. są Niemcy. My słyszeliśmy szum motorów przedtem, ale na to nie zwracało się uwagi. I znów z taborem pojechałem naprzód, dostając jeszcze do ochrony jeden r. k. m. Odbiłem od oddziału jakieś 3 km i nakazałem postój. Nie słychać żadnej walki. Po godzinie, może po dwu dołącza oddział i wtedy posuwamy się dalej. Po godzinie zakładamy obóz. Wieczorem dołącza patrol, który został pod P. i tego samego wieczoru idzie inny znów patrol do P. po rzeczy niezbędne. Tych państwa, co tam mieszkali, a tego wieczora przybyli do obozu(są to dwie młode panie i porucznik), chowają do schronu. Schron jest bardzo dobry, jak oglądałem go kilka miesięcy później, podobał mi się bardzo, bardzo a bardzo pomysłowo zrobiony. Por. „Colt” 8 godzin tam siedział, Niemcy go szukali i nie mogli go znaleźć. Kilkanaście razy tam wpadali, szukając specjalnie tego schronu, ale nic z tego, bo za dobrze jest urządzone, aby go znaleźć.

Po jednodniowym postoju zmieniamy miejsce, i posuwamy się bardziej, o jakieś 5 km, na północ, mniej więcej tu gdzie zbierałem rydze, ale niżej choć na tym samym zboczach góry. A co z tymi rydzami się stało? Kiedy wracaliśmy, wóz się przewrócił i rydze się wysypały, tak moja praca poszła na marne.

Obóz nasz teraz był w pięknym miejscu, na południowym zboczach góry, a że dni były słoneczne, to mieliśmy ciepło, ale noce były zimne, to postanowiliśmy zrobić całkiem kryty namiot z wejściem. Zżyłem się z jednym kolegą, z Ochockim, on był moim amunicyjnym, więc razem zrobiliśmy namiot. Mieliśmy cały dzień do roboty. Reszta drużyny to (z ośmiu) raz dwa zrobiła, byle jak, aby zbyć. My poczekaliśmy, aż siekiery będą wolne i wtedy wzięliśmy się do pracy. Robiliśmy go 4 godziny, śmieli się z nas, że my sobie chyba pałac niedługo zaczniemy budować. A my na to nic tylko robimy dalej, jak skończyliśmy nasz namiot zaczął się wszystkim podobać. Mieliśmy siano, ale nie położyliśmy jak inni wprost na ziemię. Na ziemi położyliśmy kije, na kije jakieś 20 cm drobnej jedliny, co się dało, na to dopiero grubo siana, jakieś 30 cm, to że do ziemi mieliśmy przeszło pół metra. Kiedy przykryliśmy się dwoma kocami, zamykając wejście, można powiedzieć, że było nam ciepło, a nawet gorąco. I co się okazało, koledzy z innych namiotów musieli w nocy

ogień palić i przy ogniu się grzać, bo nie mogli spać, ponieważ było im bardzo zimno. A my spaliśmy całą noc - co znaczy trochę pracy i pomysłowości.

Po paru dniach wyruszyliśmy na koncentrację. 15 - tego października nad ranem byliśmy na miejscu. 16 października wyruszyłem z patrolem „Wita” na urlop dwutygodniowy i poszedłem do Zosi. Dlaczego do niej, a gdzie mnie kto inny oczekiwał, nigdzie - tylko Ona. Ona przecież była dla mnie wszystkim i dlatego te dwa tygodnie, co byłem u niej, należą do najpiękniejszych w moim życiu. Te dwa tygodnie tak szybko mi zleciały tak ,jak jeden lub dwa dni. Podobno rzeczy przyjemne szybko mijają tak, że człowiek nie wie kiedy. To wszystko było prawie jak sen, a sen ten dwutygodniowy tak był miły i przyjemny. Nie raz wspominałem ten urlop, ale cóż ja mogę zrobić, jak mi nie wolno pokazać się między ludźmi znajomymi. Czyż ja mógłbym zapomnieć o tych spacerach, co robiliśmy we dwoje już samym wieczorem, ażeby mnie nikt nie poznał, o naszych rozmowach, które wiedliśmy między sobą, a później jeszcze na ławeczce przesiedzieliśmy. Ta nasza okolica jest taka piękna, to wszystko znajome i gdzie to wszystko jest? Poza mną , czy przede mną? Prawda Zosiu? Ty też chyba to samo myślisz, do tego dążysz, ażeby powtórzyły się dni październikowe i zostały z nami, ale już na zawsze. Ale jak szybko mija noc czerwcową, tak i dwa i pół tygodnia minęło.

4 listopada rano wyszedłem do obozu. Szedłem przez las i skręciłem jedną drogę za wcześnie, wchodząc na inne wzgórze. Stąd widzę wzgórze, gdzie stoi nasz obóz, ponieważ widać dym, nie schodzę na dół. Wtem słyszę jakieś głosy, przystaję za krzakiem i widzę jakichś drabów z karabinami, łopatomy, siekierami na plecach, idących równolegle do mnie. Przyglądam się lepiej. Toż to ten na początku to por. „Dolina”, ale jak zmieniony w sowieckim płaszczu i reszta patrolu w innych ubraniach, dlatego na pierwszy rzut oka nie mogłem ich poznać. Teraz domyślam się , że budują bunkier i idą do pracy. Wychodzę zza krzaków i idę w ich stronę Oni też mnie od razu nie poznali, ponieważ byłem teraz w butach i spodniach do butów. Przywitaliśmy się, no i por. „Dolina” kazał mi przychodzić do pracy. Po dziesięciu minutach jestem w obozie. Melduję por. „Podkowie” swój powrót z urlopu. Z miejsca dostaję pracę - mianowicie z jednym kolegą mamy oprawić cztery świnie i dwie jałówki, pracy na cały dzień. No, ale żeby jeść, trzeba coś zrobić. Roboty mieliśmy do samego wieczora, naprawdę krzyż i ręce bolały. To pierwsza noc po przepustce, choć byłem bardzo zmęczony, nie mogłem spać i ciągle zdawało mi się, że jestem na urlopie. A rano kol. „Profesor”, który ze mną spał , powiedział, że całą noc tylko gadałem „Zosiu i Zosiu”. Cóż ja zrobię, że nawet we śnie nie mogę o niej zapomnieć. Jak mógłbym, za bliska i za droga mi jest, bym kiedy mógł o niej zapomnieć. Na drugi dzień poszedłem do roboty do budynku , pracy tam było dużo, robiliśmy go do 15 listopada. Na piętnastego był gotowy i zamieszkaliśmy w nim.

Okolo 20 listopada był podział na dwie grupy. Jedna poszła z por. „Zaporą” o jakieś 20 km

od nas, my zaś z por. „Doliną” zostaliśmy na miejscu. I jeszcze w listopadzie widziałem się z Zosią, niedługo - jakieś 2 godziny, ale się widziałem. I za jakieś 2 dni widziałem się z nią znowu, niedługo godzinę, ale widziałem się. Nie będę pisał, ile mi szczęścia daje choć zamienienie kilku słów z nią, nie każdy może to zrozumieć. I już w listopadzie nie było nic ciekawego.

W grudniu na św. Mikołaja znów byłem u Zosi. Byliśmy u „Wita” i tam zebrało się nasze towarzystwo i oczywiście z wódką obchodziliśmy imieniny naszego kolegi. Podobno się zalałem, cóż zrobić, wódka robi swoje. Namęczyła się Zosia ze mną, ale przepadło. Dałem sobie słowo, że Ona już mnie pijanego nie zobaczy, a ja umiem słowa dotrzymać. Tak, Zosiu, pijanego mnie nigdy nie zobaczysz. Nad wieczorem z nogi, która mnie bolała, zaczęła się duża gorączka, ale koło 10-tej wieczorem przeszła, tak, że rano wyszedłem. Odprowadziła mnie Zosia duży kawał drogi. Pamiętam, że przy pożegnaniu jakaś smutna była, nie wiem czego. W obozie byłem około godziny 11-tej.

I znów zaczęły się dni szare, tak jeden po drugim, ale tą szarzyznę przerwał dzień 15 grudnia, bowiem w tym dniu nastąpiło otwarcie szkoły podchorążych rezerwy, a że i ja miałem warunki do tej szkoły, to byłem zaliczany w poczet uczniów. No, teraz zaczęły się inne dni od tych, co do tej pory. Całe dni wypełnione były programem: to wykłady, to zajęcia praktyczne, to ćwiczenia w terenie, to znów nauka własna. Bunkier okazał się za mały, cóż zrobić? Kupujemy barak niemiecki od niemieckiej firmy i stawiamy go w lesie. Powiedzą niektórzy, że to bujda. Jak to, Niemcy mogą sprzedać polskim partyzantom barak, ażeby mogli szkolić nowe szeregi żołnierzy, wychowując ich w duchu polski przeciw Niemcom? Tak. Fakt pozostanie faktem, że jednak tak było, przekona się szeroki ogół, jak wojna się skończy. Jeśli Niemcy albo bolszewicy nie zniszczą, wtedy będzie można oglądać miejsce naszej nauki i naszego szkolenia oraz bytowania w lesie. Barak był gotowy po dwu dniach, okna z szybami drzwi na klamki, tak mieszka szkoła podchorążych.

Jest wigilia 1943 roku. Od samego rana mamy roboty dużo, bo trzeba przygotować na trzy dni jedzenia, aby w święta nie gotować, a tu od samego rana przyjeżdżają furmanki z wypiekami świątecznymi, bo przecież nasza ludność pamięta o swoim wojsku. Wieczorem magazyn jest pełny, wszystkiego nam tyle nawieźli, że cały magazyn (9m sześciennych) został zapełniony, było co jeść. Wieczór wigilijny. Każdy z nas przenosi się myślą do swego domu. Wiem, jak u mnie obchodziliśmy wigilię - zawsze we czworo, ojciec, matka i ja z bratem. A teraz widzę ja swoich rodziców samych, tak na pewno tylko oni oboje przy tym stole, jedno na drugiego spogląda i łzy ma w oczach. Na pewno są łzy, dlatego, że dzieci nie mają przy sobie. Naprawdę odczułem te łzy moich rodziców, ale cóż zrobić, że wojna jest tak okrutna. Nie płacz matko w ten wieczór wigilijny, my wspominamy o Tobie. Ja czuję, że mnie jest brak, ale przypomnij sobie matko, że teraz jestem w gronie swoich kolegów, a oni są moimi braćmi. Bo przecież wspólną mamy matkę, a matką tą jest przecież Polska. Ta Polska tak samo cierpi jak ty matko, że wszystkich dzieci nie ma przy

sobie, gdzieś są jedni przy niej, inni daleko (jak ja od Ciebie), tak oni tułają się po obczyźnie. Wspominają tylko, kiedy będą mogli wrócić do tej ukochanej matki, Polski. Są inne - marnotrawne dzieci, które wyparły się jej. Tak , tak nie tylko ty matko Polko, ale i wspólna nasza matka Polska płacze nad nami, ale w chwili kiedyśmy śpiewali „Boże, coś Polskę” na pewno matka Polska poczuła, że żyć będzie. Dzieliliśmy się opłatkiem , całowaliśmy się jak bracia. Potem wieczerza wigilijna, choinka stoi w kącie ubrana przez nas, potem pieśni pasterskie. Przed dwunastą zaczyna ksiądz pasterkę, tak pasterkę w lesie, przecież my jesteśmy z Bogiem i Bóg jest z nami. Po pasterce idziemy spać.

Od rana ruch, przyjeżdżają goście, ale my nie zaczynamy od jedzenia, ale od mszy świętej. Potem jemy śniadanie, oczywiście z wódką i w południe raport. Dużo nas staje z prośbą o przepustkę, mnie nie dali. Męczę por. „Podkowę”, ażeby on pogadał z kapitanem. Kapitan daje, ale na Nowy Rok. To mnie dobija, podenerwowałem się, co ja tyle miesięcy siedzę w lesie i mnie nie puszcza, niech to wszystko szlak trafi, co chce niech się dzieje. Idę i nie wracam, mówię dość tej męki, toż to inni poprzychodzili dopiero 10 dni temu i już idą, a ja nie, tak dobrze nie będzie! To poskutkowało, dostałem urlop. Mam wrócić 26 grudnia , t. j. na Szczepana, wieczorem na 7 godzinę. Odetchnąłem, bo naprawdę łyzy mi już ze złości zakręciły się w oczach, przecież przyrzekłem Zosi, że będę na święta u niej i nie dotrzymam słowa, tego przecież nie mogę zrobić. Muszę być u niej za wszelką cenę i dlatego lżej mi się zrobiło, że będę mógł pójść. Szedłem jak tylko mogłem szybko, ażeby tylko prędzej być u niej. Wieczorem znów jestem u Zosi, ale gdy się dowiedziała , że tylko dzień, powiedziała trudno. Siedzieliśmy oboje do późna w nocy, tak można było przesiedzieć całą noc, ale przecież choć godzinę trzeba się przespać. Od samego rana znów jesteśmy razem, później przychodzą koleżanki Zosi, Olek oraz Kajtek. Spędzamy czas tak do siódmej i przychodzi Wojtuś po mnie. Żegnam się z rodzicami Zosi, a ona nas odprowadza kawałek. Przy pożegnaniu jest jakaś taka zamyślona i bardzo smutna, dlaczego nie wiem. Przy pożegnaniu powiedziała: „napisz Janku do mnie, jak zajdziesz”.

Idziemy z Wojtusiem, a za nami jakiś mężczyzna idzie już z 50 metrów. Myślę, co za cholera, czy aby gestapowiec Ściskam mocniej wisa i myślę sobie, że jak zechce legitymować to rąbnę w łeb. Mówię do Wojtka: „Wojtuś, uważaj , ktoś za nami idzie” .Nareszcie gość się odzywa,,: „poczekaj Jaśku”. Patrzę, przyglądam mu się, a to Maciuś T.. Ucieszył się, bo już mnie 9 miesięcy nie widział. Pogadaliśmy parę chwil i poszliśmy dalej. Krok wyciągaliśmy, aby tylko zdążyć na wieczór do obozu, o w pół do dziesiątej byliśmy na miejscu. Zachodzimy, zameldowałem nasze przybycie i rozglądamy się. Muzyka rżnie, koledzy tańczą z pannami, bo przywieziono ich 10. Wzięłem nogi za pas i do bunkru. Tu z kolegami „Smokiem” i „Spokojnym” wypiliśmy po kielichu i jak to się mówi uderzyliśmy w rozmowę. Bardzo przyjemnie jest położyć się po uciążliwej drodze, usnąłem . O godzinie 12 w nocy zrobił nam kol. „Wahadło” pobudkę. Przyniósł

z magazynu 2 litry spirytusu, kiełbasy gotowanej, szynkę, musztardę, buraczki i tak nam kazał witać św. Jana. No, zanim wypiliśmy (a w bunkrze było nas tylko 16-tu), zeszło nam do 3-ciej rano. No i wtedy dopiero spanie, ale niedługo, bo tylko do 8-mej, no ale trudno. W dzień znów wódka i piwo. I tak zleciał św. Jan.

Od poniedziałku znów zajęcia. We wtorek po obiedzie przychodzi do obozu wiadomość, że siostra jednego z kolegów jest aresztowana. Cóż robić, mówię: „Zbyszek, na pewno pójdzie kilku kolegów z Tobą i odbije się Halinę”. On jednak mówi, że o matkę mu chodzi i o dom, mogą spalić. Ja mu mówię: „pies jechał dom, będziesz żył, to będziesz miał niejednego”. Koledzy, słysząc to, mówią co z niego za brat, nie chce iść ratować siostry, a my mamy pójść. Na drugi dzień poszedł patrol, ale też nic nie zrobił. Ten, który wieczorem robił wywiad, powiedział, że 4 żandarmów z maszynowymi pistoletami pilnuje ją. A Zbyszek poszedł na dziewczynki, a tu siostra w więzieniu i narzeczona też w więzieniu kona - taki to z niego mężczyzna i brat. Ja w tym czasie leżałem chory, nie mogłem wcale wstać, a tu troska o Zosię. Boję się przecież, że Halina może coś powiedzieć i Zosię sypnie, i co będzie. Ach, co ja przeżywałem. Po kilku dniach dowiedziałem się, że Zosia wyjechała, odetchnąłem. Nie pamiętam jak obchodziliśmy Nowy Rok, gdyż myśl moja była tylko przy niej. Na Trzech Króli nie było nic nadzwyczajnego.

Dopiero 8 stycznia 1944 mieliśmy sensację, bo lotnik niemiecki zauważył nas. O godzinie dwunastej ukazał się nad północną częścią lasu samolot i zataczał koła parę razy. Później nad nami zatoczył 3 koła, a był tak nisko, że wyraźnie było widać lotnika. Wtedy zauważył konie stojące i dach naszego bunkru. Więc pogotowie - wszyscy przygotować się do wyjazdu. Patrole rozjechały się po sanie i konie. Na dziesiątą godzinę mieliśmy 16 par koni, oprócz 4 własnych. Tak, że teraz zaczęto ładować i pomału likwidować obóz. Wyjechaliśmy dopiero około dwunastej w nocy. Kiedy wyjeżdżaliśmy, zaczął padać śnieg i to tak gęsty, że po 10 minutach, siedząc na saniach, a byłem przykryty kocami, to jakieś 8 centymetrów śniegu napadało. To dla nas dobry znak, bo śnieg zasypywał nasze ślady i nie było widać miejsca, skąd wyjechaliśmy. A droga do obozu była dobrze wyjeżdżona i dróżka wychodzona. Teraz jak zechcą nas Niemcy znaleźć, to muszą nas długo szukać, a lotnik żeby tysiąc razy latał, to też już nie znajdzie. To nas bardzo cieszyło. Jazda była wspaniała po 3 lub 4 na saniach, tylko śmigały konie. Choć śnieg i zawieja, ale to nic, przecież jedziemy szukać lepszego jutra, nowych obozowisk. Przyznam się, że rozwłóczyłem się w lesie. W jednym miejscu najwyżej 3 tygodnie siedzieliśmy, a tu już byliśmy przeszło 2 miesiące, to przecież za długo. Tej jazdy już dawno pragnąłem, chciałem zobaczyć, jak będą się trzymali kandydaci na podchorążych, bo przecież większość to jeszcze lasu nie widziała. Niektórzy z nich pierwszy raz jadą z bronią tak jawnie. A więc to dla mnie frajda, lubię takie włóczęgostwo, choć śnieg pada, a wicher robi co chce, to przecież przyjemność w nocy jechać. Dojeżdżamy do wsi, psy szczekają jak wściekłe, ale to nic, my jedziemy. A tu śnieg pada, wicher dmie w oczy, łzy aż ciekną, ale

wszystko gra. Gnaliśmy koniki, tylko wiatr świstał, a one szły jakby wiedziały, czego my chcemy. Tak się cieszyłem tą drogą, tylko od czasu do czasu wspominałem sobie Zosię, co robi i i gdzie jest, bo żadnej wiadomości nie mam. Nieraz przez tą drogę myślałem: „Zosieńko, nie daj się, broń Boże, złapać, bo to za duży cios by był dla mnie”. I tak jechaliśmy. Po jakimś czasie dojechaliśmy do folwarku w P. . Tutaj popas koni, a my do budynków. Zgromadziliśmy się w pokoju jednym ale dużym, tu stał fortepian i nagle poderwało nas. Jeden z pomocników - „Totem”- umiał grać i zaczął „Warszawiankę”. Podchwyciliśmy, śpiewając i ta bojowa piosenka zabrzmiała w całym domu. Potem inne, między innymi piosenkę tak zwaną „Modlitwę”, zaczynającą się od słów „O Boże, któryś jest na niebie” śpiewaną przez nasze wojsko na obczyźnie. Na ostatek rozległo się szerokim echem „Jeszcze Polska nie zginęła”. Śpiewali ją wszyscy : domownicy i my, bo to nasza pieśń narodowa, za którą się siedzi i traci życie w Oświęcimiu.

Nad ranem wyjeżdżamy. Przez pierwszą wieś jedziemy, już dobrze się rozwidniło, a wieś ma 8 km długości. Jak byliśmy w połowie, to ludzie zaczęli już wstawać, tu i ówdzie dym z kominów idzie. A tu zadymka, wiatr dmie, śnieg wciska się, gdzie tylko może. Pookrywaliśmy się kocami i tak jedziemy - zimno, ręce zgrabiły, w nogi mróz szczypie, ale cóż robić, trzeba sobie nucić coś pod nosem, więc podśpiewuję sobie i jazda. Przejechaliśmy wieś i wjechaliśmy w las. Ach ten las! Kto go nie znał i nie lubił? Ale byli i tacy co go się bali. Teraz myślę, że i tak go każdy kocha. Tak ten las, las polski. Toż to jego tak wróg się boi, bo wie, że las dla niego szykuje różne niespodzianki, wie że można z niego nie wyjść żywym. Dlaczego? Bo las jest polskim, w nim polskie wojsko żyje. Tam polskość jest i nie da sobie tej wolności polskiej wydrzeć.

Po paru kilometrach postój. Schodzimy z sań, a nasz kwatermistrz plut. „Lasota” szykuje coś do jedzenia. Każdy zmarznięty, więc biegnie w tą i z powrotem, ażeby się rozgrzać. Wtem rozkaz: drużynami zbiórka. Rozkaz : drużynami podchodzić do sań, przy których jest plut. „Lasota”. Podchodzimy, każdy z nas dostaje po pół szklanki spirytusu i kawałek chleba z szynką. Po kilku chwilach spirytus robi swoje. Czuję, jak mi się robi ciepło, teraz znów można jechać. Rozkaz pada: siadać, jedziemy! Jadę na pierwszych saniach. Ma m z sobą przewodnika i nas trzech. Konie pojadły, ciągną, robi się ciszej, śnieg przestaje padać, zaczyna od czasu do czasu słońeczko przebłyskiwać, teraz naprawdę jazda sprawia przyjemność. Około godziny 9-tej rano przejeżdżamy szosę. Spodziewaliśmy się, że może spotkamy Niemców, ale nie było ich . Więc naprzód, koniki rwą, tylko spod kopyt śnieg leci. Jak miło jest i przyjemnie jechać, tak wolnym. Przecież ja wtedy nawet nie czułem, że Niemcy są u nas. Wydawało mi się, że jesteśmy na manewrach i przejeżdżamy przez nasz kraj.

Jazda nasza trwa do godziny 2- giej po południu, ciągle lasami, aż wreszcie dojeżdżamy do paru chałup w lesie i tam kwaterujemy. A gdzież mieszkańcy? Wystrzelali Niemcy w 1943 r. w lecie, a było tu kilku starców, kilku mężczyzn, kobiet i dzieci. Wystrzelali i te niewinne dzieci, tylko

dlatego, że wszyscy byli Polakami. Wszędzie Polak ginie, a to męczeńską, niewinną śmiercią, tak okupant postępuje z Polakami. I tu właśnie kwaterujemy. Czas był określony: na 3 tygodnie. Urządzamy się dwa dni. Zostaje stworzona drużyna C.K.M. ja i pięciu jeszcze tworzymy ją. Mamy sobie urządzić miejsce w komorze. Wyrzynamy okna, drzwi zakładamy szklane i wyklejamy białym papierem. Jest trochę ciasno, ale czysto i ciepło, bo mały piecyk w kącie grzeje dość dobrze. Każdy nam zazdrości, każdy przychodzi i mówi jak u nas czysto, jak u nas miło, tak, że drzwi się nie zamykały. Bez przesady, z pięćdziesięciu gości dziennie mieliśmy - to za interesem, z takimi mniej więcej pytaniami: może chleb macie, może sól, może tłuszczu trochę. To człowieka może do pasji doprowadzić. Z początku odpowiadaliśmy pierwszemu, dziesiątemu, ale dwudziesty usłyszał: „ idź do jasnej cholery, bo mordę ubijemy, że cię szlak trafi”. Czy mi rację przyznacie? Później kto wchodził, brał dwadzieścia groszy do ręki, bo kartkę wywiesiliśmy, że dziadów przyjmujemy tylko w piątki od samego rana. Wszyscy są źli na nas, każdy skarży się, że ich wyganiamy, że jesteśmy dumni, że dobrali się sami starzy leśniacy i wiedzą jak żyć, to sobie krzywdy nie dadzą zrobić. Rzeczywiście, my mieliśmy wszystko, u nas na czas wszystko było i gotowana woda, i ciepła do mycia, i miednica, bo umieliśmy ze sobą żyć, no i kombinować. Mówiliśmy, że żyjemy jak u Marcina, bo to był dom Marcina Malca, który zginął na własnym podwórku. Ale największy ruch się zrobił, jak ułożyliśmy 2 piosenki o C. K. Mach. Wtedy już powiedzieli, że się wywyższamy.

Ale chyba wystarczy o nas. Zajęcia po paru dniach odbywały się już już normalnie, dzień w dzień, Ćwiczenia w terenie, w butach mokro, przyjdiesz z ćwiczeń - wykłady, to znowu inne ćwiczenia, jak na przykład wyszkolona szermierka i. t. p. Cały dzień zajęty. Dopiero od 8-mej wieczorem wolny czas głównie na naukę własną.

Zawsze zanim zasnąłem, nachodziły mnie myśli, co dzieje się z Zosią. Już trzy listy napisałem, a od niej nie mam odpowiedzi, co jest, tak zawsze mnie to niepokoiło. Ileż to razy koledzy otrzymywali listy, a ja z taką niecierpliwością czekam i ciągle nie mam. Różne myśli przychodziły do głowy. Dopiero 11-go lutego otrzymałem list. O, jak byłem jej wdzięczny. Ten list sprawił mi wielką radość.

25 stycznia ponieśliśmy stratę w osobie plut. „Lasoty”. Zmarł z zatrucia. Tak straciliśmy w nim dobrego instruktora i żołnierza, a ja osobiście kolegę. Pamiętam, że jak przyjechałem ze szpitala, prawie nieprzytomny, on mnie zaraz rozebrał, ogolił, nakarmił. Opiekował się mną jak bratem. Dobre serce miał ten człowiek, ale cóż zrobić, śmierć nie wybiera. Pochowaliśmy go na cmentarzyku wojskowym z honorami wojskowymi. Wieczny odpoczynek Ci kolego. Cześć Żołnierska!

6 lutego było zakończenie kursu, a przed tym przez 3 dni egzaminy. Ja poszedłem na pierwszy ogień i trzech kolegów. Czułem, że poszło mi najlepiej z naszej czwórki, no i jak się okazało, nie myliłem się. Ale tego samego dnia, tzn. 3 lutego, mój kolega Ochocki został

postrzelony w płuca. Jak było zaraz opiszę. Po egzaminie nas czterech, wyjechał patrol rekwizycyjny złożony z żołnierzy nie z kursu, po dwudziestu minutach słyszemy serię z r. k. m. jedną po drugiej. Cóż to znaczy, chyba nasi natknęli się na Niemców lub Ukraińców i stąd taka strzelanina. Kapitan wysyła patrol. Idzie nas dwunastu pod dowództwem plut. „Osy”, 3 r. k. m. i 1 l. k. m., przy którym ja jestem celowniczym. Idziemy na ile nas stać, 5 km w 25 minut, z każdego z nas tylko para bucha, ale wszak idziemy z pomocą kolegom. Wchodzimy do wsi, napotykamy furmankę, a na niej siedzi ranny kol. Ochocki. Biegnę ku niemu i pytam: „Olek co ci jest?”. Powiedział, że dostał w pierś i prosił, żebym został z nim. Dobrze, ale musimy znaleźć tych szczeniaków, co strzelali. Olek powiedział, że już pouciekali. Okazało się rzeczywiście, że patrol B.CH. podpiwszy sobie, wziął naszych za Niemców i zaczął strzelać. Wróciliśmy i ja Olka do siebie wziąłem do C.K.M.. Drużyny tu się nim opiekują jak bratem. Pocieszają go jak mogą. Olek dostał, ale jest tylko czerknięty, trochę wyrwało, ale krwi nie stracił, może rozmawiać. Od razu dostał opatrunek i zastrzyk. Chodziłem koło Olka dwa dni i dwie noce, nie spałem. Na każde stęknienie jego byłem przy nim, ale dłużej nie wytrzymałem. Grypa mnie wzięła, a więc miałem gorączkę dużą, bo więcej jak 42 stopnie, wzywałem matkę i Zosię do siebie. Po trzech dniach i dwóch nocach przeszło mi, jako tako mogłem chodzić. 10 lutego Olka odwieźli do szpitala. Już sam wstał, ale go ubrałem, posadziłem na saniach, on mi podziękował za wszystko, miał aż łzy w oczach. Pojechał, pomyślałem: „niech Ci Bóg da zdrowie”.

Przez parę dni był spokój. Już 7 lutego wszyscy z kursu się rozjechali. Zostałem tylko ja z „Kaktusem”. Zostałem, bo chory byłem, nie mogłem odjechać. 14 lutego od samego rana zaczęły się strzały, coś to jest. Przychodzi meldunek, że Ukraińcy i Własowcy otoczyli wieś, a tam byli bolszewicy. Ukraińcy strzelają do każdego, coś robić - pogotowie, ale okazuje się, że to partyzantka rosyjska w sile jednej dywizji. Po południu przyjeżdża rozwitka bolszewicka do nas. Nasz kapitan jedzie do sztabu rosyjskiego, a tymczasem politnik, Nowicki, zaczyna nam opowiadać i przekonywać, że tylko rząd Wandy Wasilewskiej, oparty na Moskwie, jest czysto polski i ma prawo rządzić w kraju. Tu parę wymiennych zdań, a potem usłyszałem: „towarzysz, nie politykuj, bo my nie politycy, my jesteśmy żołnierze, nas polityka nie obchodzi, my mamy tylko jeden cel - bić germańca i jak to jest wasz cel, to wam pomożemy, ale polityki ty u nas nie zaczynaj prowadzić, bo to do niczego nie doprowadzi”. I zrozumiał politnik, że ma do czynienia z ludźmi ideowymi i już nie zaczął wcale propagandy. Od tej pory przysyłali do nas żołnierzy a nie politników.

Tak było do 18-tego wieczorem i bolszewicy odmaszerowali. Na drugi dzień okazało się dlaczego. Ale muszę jeszcze wspomnieć, co za przygodę mieliśmy 18-tego w nocy, mianowicie pożar. Spaliły nam się dwa domy mieszkalne. I znów w tym pożarze odegrałem pewną rolę. Godzina 10 wieczorem - nie mogę spać, idę do budynku gdzie por. „Leszcz” ma radio, tam rozmawiam to o tym, to o tamtym i mówię:” to ja przyjdę panie poruczniku na komunikat o 11.15 .

On mówi dobrze. Wychodzę, a na strychu jasno. Myślę, jaki czort wlaźł na górę i świeci, podnoszę głowę, a tu wianek na około komina pali się. To ja do drzwi i wołam panie por. pali się i sam po drabinie na górę, gaszę jak mogę, ale to nic nie pomaga, robi mi się już duszno, ogień ze wszystkich stron już mnie obejmuje, a tu drabinę wzięli, bo przeszkadzała w wynoszeniu rozmaitych rzeczy. Niewiele myśląc, skaczę. Budynek już cały w ogniu. Biegnę i pakuję swoje rzeczy. Spakowałem i wyniosłem poza dom jakieś worki. Wtedy znów wróciłem do gaszenia, ale cóż, nic mi nie pomogły nasze wysiłki, od czasu do czasu granat rąbnie, ani podejść. A my we czworo, jak możemy, tak ratujemy, choć gwizdże kolo ucha. Nic nie pomogło, spaliły się nasze kwatery. Przenosimy się wszyscy do jednego domu, choć ciasno, ale pod dachem.

Na drugi dzień, bombardowanie i ostrzeliwanie przez samoloty niemieckie. Przygotowanie do odmarszu i o godzinie 10-tej wyjeżdżamy. Jedziemy w nasze strony. A tu mróz największy tej zimy, szczybie w uszy, w nogi, w ręce, cóż robić - jedziemy. Jedziemy całą noc, rano około 10-tej zajeżdżamy pod spaloną gajówkę i zatrzymujemy się. Po obiedzie o 2-giej, wyjeżdżamy na patrol, celem zbadania ruchu na szosie i ubezpieczenia naszego przejazdu. A koni jest dużo (blisko setki), to musimy tę kolumnę ubezpieczyć. Wjechaliśmy do wsi w dzień. Tam robimy rozpoznanie i postój, jednocześnie obiad. Siedzimy w domu, tak miło jest, bo ciepło. Wieczorem wyjeżdżamy na szosę, tu po dwa r. k. m z każdego kierunku, stoimy z godzinę. Jedzie taksówka, ale cóż rozkazu nie ma, ażeby strzelać, chowamy się w lesie i puszcza ją wolno. Zaraz nadjeżdża nasza kolumna. Z daleka ją słychać, tylko skrzyp sani po śniegu i sanie za saniami przecinają szosę, kryjąc się w lesie. Ostatnie podjeżdżają nasze, siadamy i jedziemy. Znów jedzie taksówka i do tej nie strzelamy, bo o naszym przemarszu ma nikt nie wiedzieć. Wstępujemy do wsi, jako tylne ubezpieczenie posuwamy się za kolumną jakieś pół godziny. Nad ranem jesteśmy w obozie. Każdy zmęczony, ledwo żyje, zmarznięty. Rano przywożą nam gorącą kawę, to poprawia samopoczucie. Tak wyglądała nasza podróż, bardzo ciężka, ale i przyjemna.

25 lutego jedziemy na zasadzkę. Przed naszym wyjazdem przyprowadzają dwóch szpicli. Komendant każe trzymać ich aż do naszego powrotu. Zasadzka nie daje żadnych skutków, powracamy. Badani szpicle mówią wszystko, rano uziemiliśmy ich. 27 - w niedzielę wpada nam w ręce nowy szpicel. Przesłuchanie, twarda sztuka nic nie chce mówić, do niczego się nie przyznaje, ale znaleźliśmy punkt zaczepienia. Zaczyna motać i pomału przyznaje się, po kilku dniach załamał się i śpiewa wszystko. Przyznaje się, jakie miał zadanie, ile dostawał pieniędzy, wódki. Potem patrol przyprowadza jeszcze dwóch i znów badania.

Ja drugiego wraz z kolegą Nadolnym jedziemy do Zosi. I tak po dwu miesiącach nareszcie zobaczyliśmy się. Czas tak szybko leci, byłem u niej jeden dzień i dwie noce, to tylko 48 godzin, ale jak te godziny szybko zlatują. Nawet wszystkiego, co przez te dwa miesiące się wydarzyło, nie zdążyliśmy sobie opowiedzieć, a ja muszę już odjeżdżać. Ciężko mi było od niej odchodzić, ale cóż

zrobić, nie mogę przecież u niej długo być, bo nie mogę narażać Zosieńki i jej rodziny. Ach, żeby ona wiedziała, z jaką radością ja do niej idę. Odejście od niej to takie smutne, że człowiekowi prawie łzy w oczach stają, coś ciężkie i nie bardzo wesołe mam życie. Inni więcej szczęścia mają, chodzą, spacerują. Wolno im, a ja niech się pokażę w swojej rodzinnej miejscowości, to będę gnany przez szwabów, niby pies wściekły. O, Boże, kiedy skończy się ta moja poniewierka i jakieś inne, miłsze dni przyjdą.

Tak 4 marca rano wyszedłem od Zosieńki i dalej w stronę obozu. W połowie drogi spotykam porucznika „Dolinę” i jedziemy po nasz wóz do P. Tam zabieramy go i odjeżdżamy do obozu. Stąd 5 marca odjazd, tak pół urlop, pół służbowo, jedziemy we czterech 3R.K.M i P. P. Sza sowiecka. Jazda nasza w jedną stronę trwa 4 dni. 9 marca jesteśmy na miejscu. Tam parę dni i z powrotem. Po drodze zabieramy Ukraińców, jedną parę koni i dwie świny, ale coś po drodze jedną gubimy. Błoto, nie daj Boże, takie duże. Jedziemy dwa dni, na trzecią noc robimy skok na folwark niemiecki. Stąd zabieramy 6 par koni, 10 świń i jazda dalej. Rano zajeżdżamy na kwaterę. Jeszcze dobrze nie rozłożyliśmy się, a tu goniec: żandarmeria jedzie naszym śladem. My konie z wozami do lasu i sami też. Czekamy, co będzie. Jadą z psem. Zgubili nasz ślad w wiosce, przejechali, później wracają się i śladem do Zosi. Idę, coś zrobić, za drogi tabor. ażeby go zostawić. Idę do lasu, to znaczy trzeba przyjąć walkę, jest nas pięciu. Zajmujemy stanowisko na górze, oni mają wyjść zza drugiej. Znak do strzału - pierwszy ma zacząć porucznik „Podkowa” z magazynowego pistoletu. Wychodzą, pokazuje się pierwszy i idzie śladem furmanki, a z tyłu za nim następny. Nie wytrzymał nerwowo ten piąty, z miejscowej placówki, i rąbnął go K.B. jak tylko się pierwszy pokazał. A my chcieliśmy ich puścić tak na jakieś 30 metrów, a tu las - jakieś 70-80 metrów do nich, dobrze nie widać. No, ale trudno, zaczynamy ogień z r. k. m.. Walka trwa - żandarmi cofają się i uciekają. Wtem za nami strzały. Oj, niedobrze. Wycofujemy się na te strzały i coś widzimy - około dziesięciu chłopów z k. b i l r. k. m - myślimy czarni, a z tyłu za nimi widzimy żandarmów, ale oni do nas nie strzelają. Od razu doszliśmy do porozumienia. No to szturm na żandarmów. Ja jestem na lewym skrzydle wraz z por. „Doliną” i por. „Leszczem”, porucznik „Podkowa” na prawym. Idziemy, prawe skrzydło szybko naprzód, chce ich nagonić na nas, my wolno schodzimy z góry. Wtem dostajemy serię, tylko kurzy się i świszczy koło nas, oj niedobrze. Ciągnie porucznik „Dolina” z r. k. m i posuwamy się naprzód. Mój r. k. m nie strzela, bo ma za dużo oliwy, ale tylko magazynki daje i pod ręką mam WIS na wszelki wypadek. Idziemy dalej. Widzimy, leży szwab, ale rąbnięty, dostał w krzyż przez brzuch, tylko białkami przewraca. Zwalniamy. Ja wzięłem hełm, bo to się przyda. Dalej nie możemy ich gonić, bo musimy z taborem się wycofywać. Grupa „Kmicica” ich dalej podganiała i rąbnęli jeszcze jednego. My robimy odskok jakieś 7 km. I tu jesteśmy dwa dni. Tutaj też zachorowałem, był doktor, dostałem lekarstwa. Na wieczór odjeżdżamy, mam silną gorączkę, trzęsie mnie, raz mi zimno, raz gorąco. Jedziemy jakieś 6 km, a tu błoto i ciemna noc,

zatrzymujemy się i nocujemy. Rano wyjeżdżamy.

21 marca wieczorem jesteśmy w swoich stronach. Zostawiają mnie na kwaterze, muszę do zdrowia dojść. Nie wiem, jak dać wiadomość do Zosi i rodziców. Nie mam przez kogo posłać, chyba zrobię to wysyłając list przez pocztę. Jednak nie wiem czy dojdzie, a tam nie wiedzą co ze mną. Zosia będzie nie wiadomo co myślała, że ja nie piszę. Ach, żeby wiedziała jak jest trudno dać jakąś wiadomość. Może mnie kiedyś w przyszłości zrozumie. A tymczasem kuruję się, korzystam z tego i mam czas, żeby uzupełnić ten mój pamiętnik.”

ZWIĄZEK BOJOWNIKÓW
O WOLNOŚĆ I DEMOKRACJĘ
ZARZĄD WOJEWÓDZKI

w Lądmoszczu

LEGITYMACJA NR

0289227



.....
podpis posiadacza legitymacji

Tyska
Nazwisko
Jan
Imiona
Julian Katarzyna
Imiona rodziców
12.07.1919 r. Dulezyniec
Data i miejsce urodzenia

jest

KOMBATANTEM

uprawnionym do świadczeń
określonych ustawą z 26 maja 1982 r.
o szczególnych uprawnieniach
kombatantów
(Dz. Ust. Nr 16, poz. 122)



WICEPREZES

Zarządu Wojewódzkiego ZBoWiD

14.01.1984
data wystawienia

.....
podpis

RODZAJE I OKRESY
DZIAŁALNOŚCI KOMBATANCKIEJ

Okresy		wyszczególnienie
od	do	
03.22.04	1943.1944	Ruch Oporu

łącznie lat 1 miesięcy 4 dni 22



m. p.

.....
podpis

RODZAJE I OKRESY
DZIAŁALNOŚCI KOMBATANCKIEJ
(Uzupełnienia)

Okresy		wyszczególnienie
od	do	

łącznie lat _____ miesięcy _____

m. p.

.....
podpis

Zakończenie

„Pamiętnik” mojego dziadka, partyzanta z oddziału „Podkowy”, oddaje w pełni atmosferę tych trudnych dni okupacji nie tylko na Zamojszczyźnie, ale w Polsce.

Na pewno nie jest on wielkim dziełem literackim, ale ma wielką wartość historyczną, a dla mnie osobistą. Dla mnie, najmłodszego pokolenia Polaków, te zapiski dają wielką wiedzę, jak toczyło się życie w okupowanym kraju. Dotarło do mnie na czym polega patriotyzm. Mój dziadek opisał to uczucie prostym językiem, ale chwytającym za serce... Myślę, że gdyby nie było takich ludzi jak On – nie byłoby wolnej Polski. Nie wiem, czy dziś stać by było nas na tak wielką miłość do Ojczyzny i poświęcenie wszystkiego dla jej ratowania...

Zdałam sobie sprawę, że w czasie wojny oprócz walki toczyło się „normalne” życie... Ludziom towarzyszyły takie same zachowania i uczucia jak dziś.. tęsknili, kochali, żartowali, pomagali sobie ... Zaimponowała mi wielka odpowiedzialność za drugiego człowieka i za Ojczyznę.

Jestem przekonana, że takie lektury w postaci pamiętników są najbardziej wiarygodne, bo autentyczne, prawdziwe. Młodego czytelnika mogą przyciągnąć do chęci poszerzania wiedzy w danej dziedzinie. Twierdzę tak na własnym przykładzie. Po przeczytaniu „Pamiętnika” dziadka zainteresowałam się okresem II wojny światowej.

Na zakończenie dodam, że Zosia, o której tyle razy wspominał dziadek, została w 1945 roku jego żoną.

Jestem dumna z mojego dziadka!